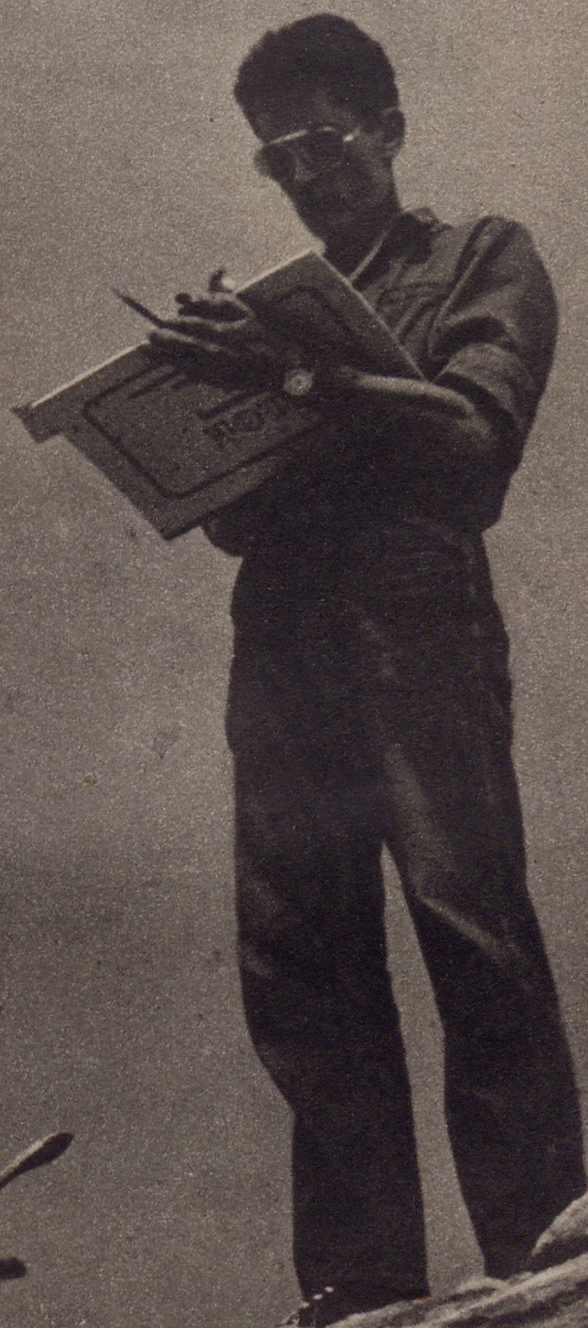


ziemia

• ROK II • NR 9(11) • WRZESIEŃ 1957 • 5 ZŁ •



*Międzynarodowy obóz
grotolazów w Polsce* STR. 16-18

przedstawia młodego architekta podczas sporządzania jednego ze szkiców do inwentaryzacji twierdzy nad jeziorem Rożnowskim. Na str. 24 znajdziecie artykuł „Rysować czy nie rysować?”. Fot. G. Faryaszewska



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę na IV kwartał br. (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych — od 16 sierpnia DO 15 WRZEŚNIA.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KAŻDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100 020. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100 024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPRIEDNIE NUMERY ZIEMI

Numery z roku 1957 — można nabywać we „Wzorcowni” Państw. Wyd. Naukowego w Warszawie, Krak. Przedmieście 79, lub zamawiać listownie pod tym samym adresem. Numery 1 i 2 z roku 1956 nabywać można w sklepach antykwarycznych „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii £ 0,23, rocznie 1,89; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — LA 0,27, rocznie 1,10.7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miestkich i gorodskich Otdielach Sojuzpieczati”; NRD — Zeitungsvertriebamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. 1, Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupectvi Karvina II/Doly tr. Cslaw. Armady, 3) PZKO C. Tesin Gottvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd, Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd, Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haifilepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Litteraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleye, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.

Ziemia

— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIĘGIEL, red. działu — MARIAN KORNECKI, układ graficzny — ZBIGNIEWA ŁAGOCKIEGO. Adres redakcji: Kraków, Basztowa 6. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Nakład 18.005. Zam. 487/57. M-12. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE



ZAMEK W WARSZAWIE

Zniszczenie Zamku Warszawskiego tylko w nieznaczącej części było dziełem wojny i wynikiem „konieczności” związanych z działaniem armii we wrogu kraju. Doszczętne rozwalenie murów zamkowych — to owoc przygotowywanej na zimno i z premedytacją akcji specjalnych brygad niemieckiego „Vernichtungskommando”, działających z polecenia najwyższych czynników rządowych Trzeciej Rzeszy. Szło o zniesienie z powierzchni ziemi obiektu, który swoją historią i samym istnieniem świadczył o ciągłości historii, kultury i państwowości polskiej. Był to akt barbarzyńskiej nienawiści — ale wbrew pozorom nie było to pociągnięcie naiwne. Nie od dziś wiadomą jest bowiem prawdą, że naród pozabawiony świadectw i dokumentów przeszłości staje się o wiele bardziej podatny i bezwolny.

Realizacja intencji hitlerowskich „nadludzi” ugodziła w tym wypadku szczególnie celnie i dotkliwie. Zniszczeniu uległ jeden z najbardziej istotnych elementów urbanistyki Starej Warszawy — zabytek specjalnie

cenny i jako dzieło sztuki i jako dokument historii całego narodu. Świadomość tych faktów decyduje o przyznaniu bezwzględnej słuszności zarówno stanowisku oficjalnych czynników państwowych, które już przed laty zapowiedziały odbudowę zamku — jak też i tych wszystkich, którzy obecnie dzieło to chcą urzeczywistnić.

Dzięki zachowanemu planom pomiarowym, istnieniu pełnej dokumentacji historycznej i ikonograficznej, a także licznym ocalałym fragmentom i szczątkom — rekonstrukcja Zamku jest w pełni możliwa. Tym bardziej możliwa, że istnieje już szereg wariantów projektu odbudowy, przygotowanych przez specjalnie do tego celu powołaną pracownię.

Kwestią są tylko fundusze, nieodzowne dla realizacji projektu. Są one dość znaczne, obracają się wokół liczby 100 milionów złotych. Jest to wprawdzie tylko nieznaczny ułamek sum, które obywatele polscy wydają na wódkę w skali rocznej — ale równocześnie jest to suma, która w zad-

nym wypadku nie powinna uszczuplić i tak już niewystarczających funduszy państwowych, przeznaczonych na budownictwo. Trudno; w bezwzględnej hierarchii potrzeb człowiek musi stanąć nawet przed zamierzeniem o tak bezspornej słuszności jak odbudowa zamku warszawskiego.

A jednak mimo to fundusz taki musi się znaleźć. I jest rzeczą inicjatywy społecznej, aby znalazł się możliwie rychło. Prasa polska opublikowała wiele już wypowiedzi poświęconych realnym sposobom zebrania owego funduszu — od rozpisania akcji „cegielkowej” w kraju i wśród Polonii poza jego granicami — do bardzo słusznego naszym zdaniem projektu opodatkowania na ten cel krajowej sprzedaży alkoholu, sięgającej cyfr astronomicznych.

Wierzmy, że wszystkie te projekty — po dokładnym zanalizowaniu i rozpatrzeniu — doczekają się przedstawienia na forum sejmowym i wejdą możliwie najrychlej w strefę konkretnej realizacji.

DZIEJE ZAMAGURZA SPISKIEGO

(DO POŁOWY XIX WIEKU)

SPRAWĘ ZAMAGURZA SPISKIEGO OTOCZYŁA W CIĄGU MINIONYCH LAT KILKUDZIESIĘCIU NIEZDROWA ATMOSFERA. CIASNY SZOWINIZM I BRAK ODPOWIEDZIALNOŚCI NIEKTÓRYCH LUDZI PISZĄCYCH PO OBU STRONACH GRANICY SPRAWIŁ, ŻE SPISZ STAŁ SIĘ JEDNYM Z GŁÓWNYCH POWODÓW NIEPOROZUMIEŃ POLSKO-CZESOSŁOWACKICH. DZIŚ KIEDY SIĘ MÓWI, ŻE GRANICA NIE DZIELI LECZ ŁĄCZY PORA SPROSTOWAĆ FAŁSZE. PAMIĘTAJMY, ŻE KRAŻĄ JESZCZE WŚRÓD LUDNOŚCI WIEJSKIEJ PRZEDWOJENNE I OKUPACYJNE DRUKI SZOWINISTYCZNE, PODSYCAJĄC KU UCIESZE NASZYCH WSPÓLNYCH NIEPRZYJACIOŁ DAWNE NIEPOROZUMIENIA. PONIŻSZY ARTYKUŁ JEST POPULARNYM ZESTAWIENIEM PRAWDZIWYCH FAKTÓW HISTORYCZNYCH, USTALONYCH PRZEZ HISTORYKÓW SŁOWACKICH I POLSKICH.

Mapa etnograficzna Spisza w r. 1939 przedstawia mozaikę kolorów, gdyż kraj ten zamieszkiwało kilka narodowości. Najliczniejsi byli Polacy, których na Zamagurzu żyło 8500 w granicach państwa Polskiego i 6500 w granicach Czechosłowacji w tzw. powiecie starowiejskim. Prócz tego w dolinie Popradu w powiatach lubowelskim i kieżmarskim było ich 18000 (dolinę Hernadu w tych obliczeniach z braku danych statystycznych pomijamy). Rusinów w powiecie starowiejskim było 2717, w obu powiatach nadpopradzkich 9600. Niemców w powiecie starowiejskim było ok. 200, w pow. lubowelskim i kieżmarskim 18450. Najmniej liczni byli Słowacy, gdyż liczba ich ograniczona do doliny Popradu, nie przekraczała 3138 obywateli.

Na pojęcie Spisza składają się trzy naturalne jednostki geograficzne: dolina Hernadu, dolina Popradu i Zamagurze Spiskie. Z jednostek tych do Polski należy 13 gmin tworzących zachodnią część Zamagurza, podczas gdy reszta Spisza od roku 1920 należy do Czechosłowacji.

Pierwotnie nazwą Spisza obejmowano jedynie dolinę Hernadu. Od czasów Bolesława Chrobrego do Bolesława Krzywoustego należała ona do Polski. Około roku 1130 dolina ta znalazła się w posiadaniu Węgrów, którzy natychmiast poczęli ją kolonizować. W Bramie Ganowieckiej, stanowiącej dogodny przejście w dolinę Popradu osadzili oni 14 wsi węgierskiej szlachty kresowej tzw. kopijników (lanceteati). O znaczeniu strategicznym Bramy Ganowieckiej świadczyć mogą umocnienia, po których dzisiaj czasem tylko pozostały takie nazwy jak np. Branisko, Hradek w Ganowcach, Hradek na Zielonej Horze w Letanowcach, Lapis Refugii, czy Granownica.

Za Gejzy II (1142—1162) w Podgrodziu u stóp Zamku Spiskiego, osiedlili się także Niemcy, których napływ, szczególnie z Saksonii, wzmógł się znacznie po pierwszym najeździe Tatarów w 1241 r.

Sasi spiszy nie ograniczali się do kolonizowania okolic Podgrodzia i Lewoczy, ale szybko poczęli wdzierać się w puszcze nadpopradzką, w której już przed rokiem 1241 istniały polskie osady Gniazda i Podoliniec a przypuszczalnie i zamek w Starej Lubowli. Osady te stanowiły integralną część ziemi sądeckiej, jak to stwierdza jeszcze dokument Wacława z r. 1301, w którym król ten mówi o Gniazdach i Podoliniecu duas villas nostras in terra Sandecensi sitas.

Od tych miejscowości w górę Popradu i po drugiej stronie Magury ku brzegom Dunajca, pilnowanym przez warowny Czorsztyn, szumiała puszca,

nazwana przez jeden z dokumentów z 1264 r. Cetyną (silva magna Chetene vocata) i w niej właśnie poczęły powstawać osady saskie o nazwach niemieckich, często jednak, tworzonych w oparciu o polską nomenklaturę, jak np. Biała (Bela) Toporzec (Toporc), Słowiańska Wieś (Winschendorf Tötfalu), co świadczy, że puszca ta już przed przybyciem Niemców była zaludniona przez Słowian. W dokumencie z r. 1280 dotyczącym dzisiejszego Harhowa czytamy nawet: Gargow — villa Sclavonica. To rzadkie osadnictwo słowiańskie, raczej polskie niż słowackie — bo Słowacy posuwający się od nizin Dunaju w górę Wagu i Gronu, w XIII w. jeszcze na Spisz i Liptów nie docierali — wzmogła działalność kolonizacyjna Cystersów, osiadłych od r. 1223 w Szczawniku w pobliżu Bramy Ganowieckiej. Cystersi bowiem sprowadzali z tamtej strony dużo polskiej ludności z północy, z swoich dóbr w Wąchocku i Koprzywnicy. Nieco później, bo z początkiem XIV w. poczęli podobną akcję rozwijać, głównie w dolinach Magury. Bożogrobcy — Miechowici. Oto bowiem w r. 1307 mistrz Kokosz de Berzeviczy zabił możnego Fryderyka Görgeya, który według niektórych źródeł miał być proboszczem Bożogrobców w Chmielowie (Komlós) koło Bardiowa. Otóż ów Kokosz jako ekspiację za to zabójstwo ufundował 6 klasztorów a między nimi klasztor w Lendaku pod Magurą i w nim osadził Miechowitów sprowadzonych tutaj przez niego w r. 1313 z Chmielowa, gdzie siedzieli oni już od roku 1222.

Bożogrobcy z Lendaku wkrótce znaleźli się w posiadaniu zamagurskich Hanuszowic i Łapsz Niżnich oraz innych majątków, do których sprowadzali osadników z ziemi miechowskiej. W r. 1315 Kapituła Spiska zrzekła się swoich praw do kościołów w Lendaku i Chmielowie na rzecz zakonu. Wreszcie w r. 1325 mistrzowie Jan Kokosz i Rykolf de Berzeviczy ustąpili proboszczowi miechowskiemu prawo obierania plebana w Lendaku, co zatwierdził król Karol z tym, aby proboszczowie lendaccy w Kapitułe Spiskiej składali przysięgę wierności dla króla i korony węgierskiej.

Najwięcej jednak powstawało nad Popradem osad niemieckich a ważnym czynnikiem w tej akcji kolonizacyjnej stały się rycerskie rody Görgeyów, Berzeviczych, Svabych, Mariassych i inne. Opierając się na nadaniach Beli IV i jego następców prowadziły one trzebież nadanych im obszarów leśnych, zakładały na karczowiskach osady na prawie niemieckim, otaczając nimi wieńcem okręg podoliniecki, co doprowadziło wreszcie ok. r. 1313 do jego odpadnięcia od Polski. Wraz z tym najdalej na południe wysuniętym klinem Sądeczyny

utraciła Polska Zamagurze, gdzie Bela IV już w r. 1260 nadał synom Jordana Görgeya szmat lasu sięgający aż po Dunajec. Było to, co prawda, nadanie tylko pretensyjne, bo król węgierski nie wiedział czy ma prawo rozporządzać tym lasem sięgającym tak daleko na północ. W akcie nadania zaznaczono bowiem wyraźnie, że reambulację tego obszaru należy przeprowadzić w tym wypadku, jeśli nikt nie będzie przeciw temu protestował. Według doniesienia Kapituły Spiskiej, nikt nie sprzeciwił się temu wytyczeniu granic więc reambulacja została dokonana.

A przecież geograficznie wiąże się ta zamagurska ziemia z Podhalem i Sądeczyną ofiarowaną w r. 1257 przez ks. Bolesława Wstydliwego małżonce jego Kunegundzie z tym wyraźnym zastrzeżeniem „ażeby wsławiona Pani... za życia ani po śmierci nie ustępowała wspomnianej ziemi innym narodom, ani też jej... od narodu polskiego nie odejmowała”. Jak wiadomo Kunegunda sprowadziła do Starego Sącza klaryski i nadała im ziemię sądecką, one też mając pod dostatkiem materiału ludzkiego powinny były wykazać więcej przedsiębiorczości w zakładaniu osad nad Popradem i na prawym zamagurskim brzegu Dunajca, co byłoby w tamtych czasach równoznaczne z rozszerzeniem granic politycznych w księstwa krakowskiego. Ale klaryski nie umiały zdobyć się na jakąś przewidującą politykę gospodarczą i dały się wyprzedzić Węgom, co im słusznie zarzucają nasi historycy. Nie stać je było nawet choćby tylko na wniesienie kontradykcji względem pretensyjnych nadań węgierskich sięgających aż na Dunajec, chociaż tam z końcem XIII w. pewne obszary leśne należały do Gniazd i Podolinia i chociaż przypuszczalnie istniały tam polskie osiedla stanowiące załazek Starej Wsi Spiskiej a może i Lechnicy, Frydmana i Kacwina lokowanych na prawie niemieckim przez Berzeviczych po roku 1313.

Zamagurze odpadło ostatecznie od Polski za Władysława Łokietka mającego przeciw sobie i czeskiego Wacława i Zakon Krzyżacki a także niemieckie mieszczaństwo Krakowa, które podniosło bunt przeciw naszemu Piastowi pod wodzą wójta Alberta. Rodzony brat tego wójta Henryk, będący proboszczem miechowskim, po stłumieniu buntu przez Łokietka czując się niepewnie w Polsce zbiegł do Lendaku i jeszcze w r. 1313 powierzył niejakiemu Henrykowi Młodszemu z Kieżmarku wykarczowanie lasu w nie dającej się bliżej określić okolicy na Zamagurzu i założenia na tej nowiźnie osad.

Węgrzy zaraz po zajęciu Zamagurza poczęli prawy „węgierski” brzeg Du-

najca umacniać. Powstał więc przy nim Czerwony Klasztor, warowny zamek w Niedzicy i jakiś obronny dworzec, na którego miejscu stoi dzisiaj renesansowy kasztel Paloczayów we Frydmanie. Podobny kasztel istniał także w Łapszachs Niżnych. Założycielem Czerwonego Klasztoru Kartuzów był znany nam już Kokosz Berzeviczy. On nadał temu klasztorowi w r. 1319 Lechnicę i wieś Frankową, nazwaną tak, bo lokował ją brat jego Frank de Berzeviczy. Kokosz nadał także Kartuzom w r. 1326 prawo patronatu do kościoła parafialnego we wsi jego Niedzicy a kapituła spiska wcieliła tę plebanię do klasztoru i dała mu prawo pobierania z niej dziesięcin. Czerwony Klasztor zwany także Lechnickim powiększał swoje majątkości.

W r. 1320 istniały oprócz Frankowsy wsie Frydman, Kacwin i Niedzica, które Kokosz sprzedał wtedy swemu bratu Janowi. Natomiast zamek w Niedzicy powstał kilka lat później. W testamencie palatyna węgierskiego Wilhelma Drugheta z r. 1330 figuruje on jako novum castrum de Dunajecz.

Kokosz był także dobrodziejem Miechowitów z Lendaku, w których posiadaniu znalazły się na Zamagurzu Niżne Łapsze i Hanuszowice (Hanshau) a później także Jeziersko i Zdzar. Niejedna rodzina w tych wsiach pochodzi z okolic Miechowa. Osady zamagurskie z XIV w. były lokowane na prawie niemieckim. Zasadzca (scultetus, soltys), tj. ten, który podejmował się karczunku lasu i założenia wsi, zawierał najpierw z panem umowę, w której ściśle były określone prawa i obowiązki osadników. Zasadzca miał obowiązek postarać się o osadników, by karczować przy ich pomocy las na uprawną ziemię, planowo zbudować wioskę i potem dziedzicznie nią zarządzać. Miał on także powierzona władzę sądowniczą, a wymierzał sprawiedliwość według prawa magdeburskiego.

Osadzona ludność otrzymywała swe działy bezpłatnie, osobiście była wolna. Obszar wyznaczony pod wieś wynosił 30—60 łanów (1 łan = 34 morgi). Za trudy poniesione przy karczowaniu lasu osadnicy dostawali 16 lat wolnizny. Po upływie tych lat płacili czynsz i dawali świadczenia czyli „dary”. Składali je panu w oznaczonych terminach: piwo wieźli zwykle na Boże Narodzenie, baranki na Wielkanoc, a owies na św. Michała. Wieśniacy ci jako ludzie wolni nie mogli być pociągani do robót ręcznych lub z zaprzęgiem końskim na rzecz dworu. W osadach mogli sobie stawiać kościoły, z tym, że będą proboszczowi płacić dziesięcinę.

Soltysami byli zazwyczaj Niemcy i oni najczęściej nadawali od swego nazwi-



Widok z drogi prowadzącej z Dębna do Frydmana. Fot. Zbigniew Danielak

Kościół św. Stanisława we Frydmanie. W głównym zrębie budowla pochodzi z końca XIII lub pocz. XIV wieku. Wieża zwieńczona jest attyką późnorenesansową. Fot. Zbigniew Danielak



ska czy imienia nazwę lokowanej osadzie. Ale ogół zamagurskiej ludności osadzonej na roli stanowili Polacy, bo po północnej stronie Karpat była większa obfitość materiału ludzkiego, niż na południu. Słowacy, posuwający się z nizin naddunajskich w górę Wagu, Gronu i Nitry, w XIV w. jeszcze do Spisza nie docierali. Dlatego też Jordan, protoplasta Görgeyów udał się w r. 1256 ściągać osadników na wydłunioną po najeździe Tatarów ziemię spiską nie gdzie indziej, tylko na Ruś i do Polski.

Zdarzało się, że sama ludność słowiańska, dążąc do uzyskania korzystniejszego dla niej prawa magdeburskiego zapraszała do swej osady niemieckiego osadzcę ofiarowując mu stanowisko sołtysa. Stąd w dokumentach owego czasu Niemcy bywają nazywani „gośćmi” czyli hospites. Bogatszy przedsiębiorca mógł niekiedy kupiać w swym ręku kilka sołtystw i nie mieszkać w lokowanej przez siebie miejscowości, mimo to dać jej niemiecką nazwę. Przykładem tego może być na Podhalu Tylmanowa, biorąca swą nazwę od Niemca spiskiego Tirmana, który był wójtem sądeckim.

Działalność kolonizacyjna Węgrów na Zamagurzu groziła Nowotarszczyźnie odcięciem od ziemi sądeckiej i w ogóle od Polski. Dla tak przewidującego władcy, jakim był Kazimierz Wielki, nie ulegało wątpliwości że następnym etapem ekspansji węgierskiej ku północy będzie niemal bezludny lewy brzeg Dunajca między Nowym Targiem a Sromowcami, broniony jedynie przez Czorsztyń. Dlatego król ten w odpowiedzi na lokowanie Lechnicy, Niedzicy i Frydmana przystąpił do pośpiesznego zakładania wsi na lewym, polskim brzegu Dunajca. Ażeby zapewnić sobie napływ ludności do tych wsi, Kazimierz Wielki lokował je na dogodnym prawie niemieckim. W ten sposób powstają lub istnieją już Szaflary, Dębno, Harkłowa (tak nazwana od sołtysa Hartla). W sąsiednim księstwie sądeckim w dobrach klarysek uzyskuje prawo niemieckie polska wieś Przekop, która otrzymuje nową nazwę — Sromowce, a jej sołectwo przechodzi z rąk niejakiego Schramma w ręce Eberhardta. W r. 1330 istnieje już Grywałd, w r. 1336 Tylmanowa. W r. 1346 na miejscu Starego Cła czy Starej Wsi wyrasta powtórnie lokowany Nowy Targ, a w r. 1348 niejaki Hadzud ze Spisza zakłada Krościenko.

Zamek czorsztyński pamiętający czas pierwszego najazdu Tatarów zostaje teraz otoczony przez Kazimierza Wielkiego silnymi murami i staje się siedzibą starostwa czorsztyńskiego wyłonionego z kasztelanii sądeckiej gdzieś w połowie XIV w.

Wbrew tezę niektórych historyków zasugerowanych z niemieckimi brzmieniami nazwami osad po obu stronach Dunajca, udział niemieckiego elementu etnicznego w tych stronach był zupełnie nikły. Ale Niemcy w czasie ostatniej wojny światowej mimo braku podstaw naukowych przystąpili do stworzenia tzw. Goralenvolku, opartego poniekąd na rasistowskich założeniach, przy czym nie włączali do tego sztucznego tworu politycznego naszych górali z Zamagurza lecz tylko ludność Podhala, mimo że gwarowo i etnicznie oba te odłamy polskiego ludu są sobie bardzo pokrewne.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

ROZMOWA

Z

PRZYJACIELEM

GŁOS

W

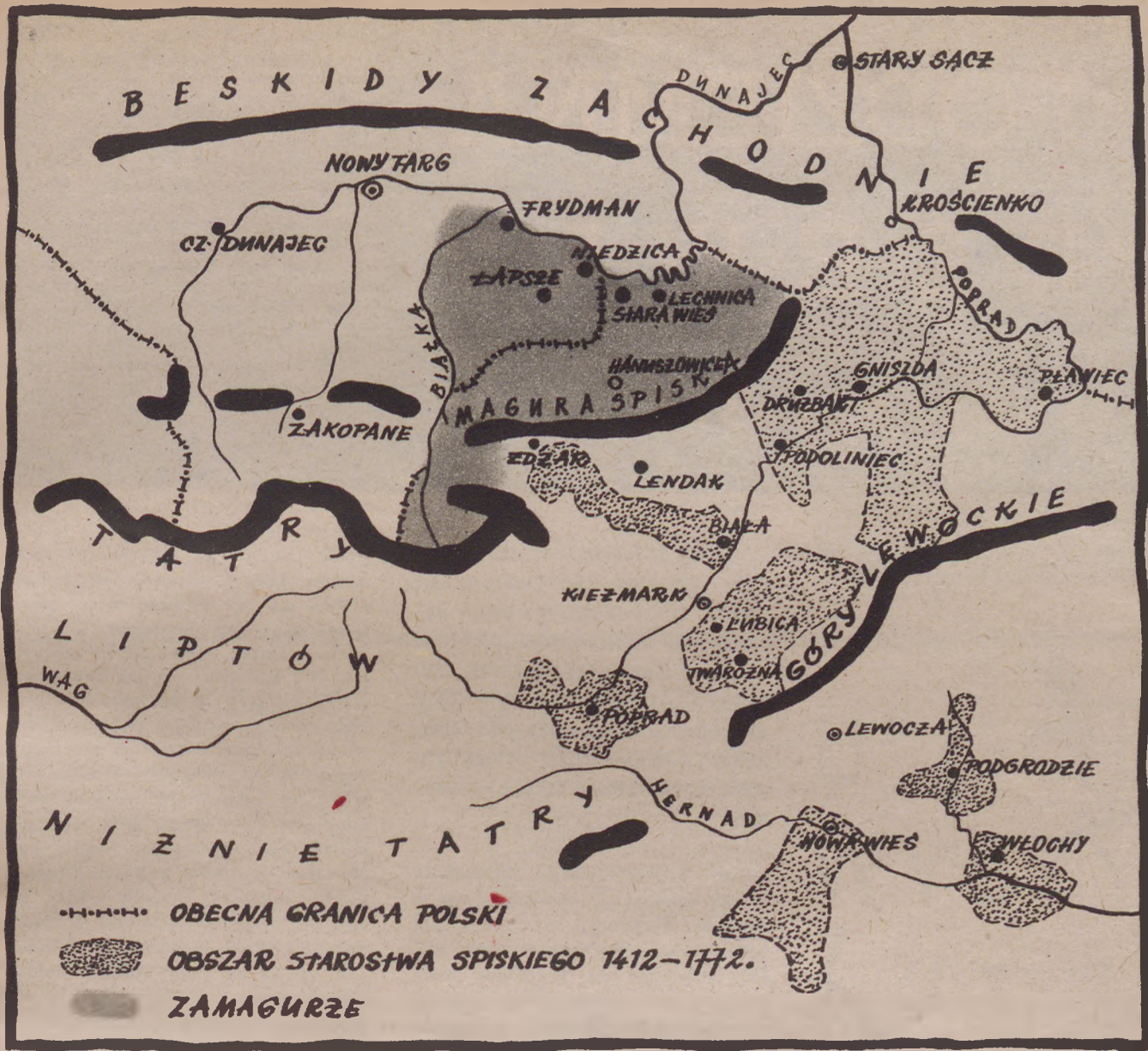
DYSKUSJI

Bruksela 22. VII. 1957 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dorzucam do dyskusji z „przyjacielem“ garść uwag na temat roli turystyki i krajoznawstwa w ekonomii krajów zachodnich, z których Belgia jest jednym z przykładów. Turystyka stanowi tu jeden z działów gospodarki narodowej, jest to swego rodzaju „przemysł“, nie tylko popierany przez odpowiednie urzędy, ale przede wszystkim przez społeczeństwo, a głównie przez klasy średnie.

Zainteresował mnie alarm niektórych pism krajowych o zagrożeniu szeregu poważnych obiektów sztuki i kultury. Przyczyną miałyby być brak zainteresowania miejscowych czynników. Otóż porównując sytuację krajoznawstwa w Belgii, wydaje się, że byłoby tu to samo z przeróżnymi zabytkami, pałacami, lasami czy jeziorami, gdyby tutejsze towarzystwa krajoznawczo-turystyczne traktowały je wyłącznie jako zabytki „muzealne“ po myśli urzędów konserwatorskich i nic więcej poza tym nie starały się z tych zabytków osiągnąć. Wszystkie tutejsze towarzystwa współpracują z urzędami konserwatorskimi dorzucając czynnik praktyczny: obiekt krajoznawczy, cokolwiek by to nie było, musi przyciągać ludzi, być im pożyteczny, przedstawiać dla nich pewien interes, korzyść materialną, która w połączeniu z korzyścią kulturalną daje mu żywotność, stanowi o jego użyteczności stale aktualnej. Turystyka, a z nią krajoznawstwo nie doznają w ten sposób zahamowania, idą własnym rozpędem i ważne obiekty, takie jak zabytkowe zamki, są samowystarczalne bez konieczności szukania specjalnych subwencji państwowych. Ale także dotyczy to innych obiektów, jak np. puszcza. Kto mógłby przypuścić, iż puszcza jako taka może dostarczać dochodów w gospodarce narodowej, mimo że nie wolno z niej wyciąć ani jednego pnia? Stara się o to, oddział towarzystwa turystycznego pod nazwą „Amis de la Forêt de Soignes“. Któż tam rej wodzi i jest natchnieniem dla urentownienia puszczy? Czynnikiem praktycznym obok urzędu leśnego, jest miejscowy związek restauratorów. Robią oni wszystko, by osiągnąć konsumentów. Obok więc towarzystwa krajoznawczo-turystycznego działa pomocnicza organizacja (syndykalno-zawodowo-gospodarcza) jak syndykat hotelarzy, jak syndykat gastronomiczny, jak związek producentów wiktualów itp.



Mapka przedstawiająca rozerwany na drobne części obszar historycznego starostwa spiskiego oraz teren Zamaгурza Spiskiego. Czarnymi plamami oznaczono główne grzbiety górskie



Znany kościółek drewniany w Grywałdzie na pograniczu Spisza i Podhala. Fot. Zbigniew Danielak

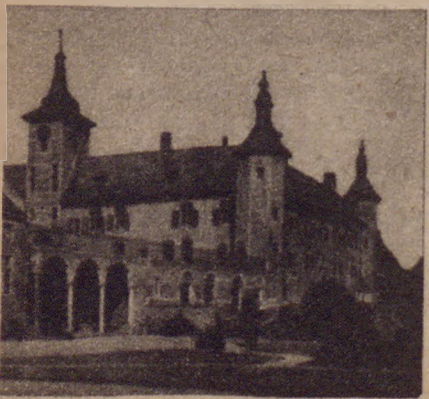
Wszyscy dzielnie pomagają do rozwoju „interesu”. Przy pomocy lokalnych kupców i przemysłowców niknie obawa zahamowania ruchu krajoznawczego, jak również niknie obawa, aby ten czy inny zamek poszedł w ruinę. Osobną pozycję stanowi „syndykat inicjatywy”, który zajmuje się w sposobnych okresach urządzaniem masowych imprez. Dlatego w Belgii nie ma starych zamków stojących w ruinie, lub którym groziłaby ruina? Dlatego, że całe kupieckie i przemysłowe otoczenie doskonale wie, że z zabytkowego i dobrze urządzonego starożytnego zamku płynie pieniądź...

W różny sposób... Miejscowy restaurator, miejscowy kupiec ciągnie dochody z pobytu w tym miejscu turysty. Sekretarz towarzystwa opieki nad „Château de Bersel” zapuszcza w stawach zamkowych nieprzeliczoną ilość ryb, z których czerpie odpowiednie sumy, bo są przeznaczone na łów. Setki członków towarzystwa rybolowców płaci za przyjemność schwywania na wędkę kilku ryb (w otoczeniu zabytkowym). Czyli praktycznie do utrzymania tego zamku przyczynia się związek amatorów łowienia ryb! Innym zamkiem, jak „Château de Gaasbeek” zainteresowali się aktorzy dramatyczni. Urządzają tam przedstawienia na wolnym powietrzu (od Szekspira do współczesnych piewców średniowiecza). Tu znowu do utrzymania zamku przyczynia się związek artystów scenicznych, przy czym miejscowi kupcy i rzemieślnicy nie pozostają bezczynni. Z prywatną inicjatywą lokalnych towarzystw krajoznawczych (inicjatywa handlowa) związana jest doskonale funkcjonująca propaganda reklamowa. W odpowiedniej chwili, każdy jest dobrze poinformowany o różnych możliwościach programowo-wycieczkowych. Programy są układane przez specjalistów i zawsze zawierają przystanek w lokalu restauracyjnym(!) lub hotelu. Kierownik restauracji już z góry czeka na turystów, gdyż jest poinformowany o wycieczce za pośrednictwem drukowanych biuletynów. Jest to więc pewien rodzaj wymiany usług gospodarczych. Miejscowy związek kupców czy restauratorów dba o obiekt krajoznawczo-turystyczny, zaś towarzystwo turystyczne dba o restauratora i dostarcza mu konsumentów.

Gdyby w Polsce do ruchu turystyczno-krajoznawczego zaprzagnąć wszystkie praktyczne czynniki gospodarcze, wówczas ruch ten z dziedziny kulturalnej, mocno kulejącej, przekształciłby się w dziedzinę kulturalno-gospodarczą, stojącą o własnych nogach i samodzielnie się rozwijającą szczególnie jeśli chodzi o utrzymanie w dobrym stanie obiektów zabytkowych. Byłby to nowy „przemysł” w Polsce.

z pozdrowieniami
J. Sobieski

Na zdjęciu: zamek w Rixensart w Brabancie



PODZIEMNA RZĘKA?

ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI



Górna mapka przedstawia położenie Wolanki, dolna — dolinę Wolanki i bieg samej rzeczki. Linia przerywaną zaznaczono domniemany przepływ podziemny

Poniżej: Dolna czarna linia przedstawia ilość wody przepływającej w ciągu minuty w Wolance. Każdy milimetr szerokości tej linii oznacza metr sześcienny wody na minutę. Gdyby w tej samej skali przedstawić wody płynące w czasie powodzi w r. 1951, szerokość kreski musiałaby wynosić 5 metrów. Na profilu poprzecznym doliny zaznaczono przypuszczalny system jaskiń chłonących wodę Wolanki. Zdjęcie na sąsiedniej stronie, u góry: suche koryto rzeki Wolanki. Fot. A. Łaszczyński

W CIĄGU DZIEŚCIU MINUT SUCHA DOLINA NAPEŁNIŁA SIĘ WODĄ. DWUMETROWA FAŁA RUNĘŁA W DÓŁ ZNOSZĄC PIĘĆ CHAŁUP I ROZLEWAJĄC SIĘ SZEROKO. STAŁO SIĘ TO TAK NAGLE, ŻE JEDENASTU LUDZI NIE ZDAŻYŁO ZBIEC PRZED ATAKUJĄCYM ŻYWIOŁEM. UTONĘLI WSZYSCY.

Tak według relacji mieszkańców Wólki Bałtowskiej, niewielkiej wsi w dorzeczu Kamiennej, miał wyglądać wylew rzeczki Wolanki w roku 1951. Dziś znów nie ma w dolinie wody i trudno nam byłoby może uwierzyć w opowiadanie wieśniaków gdyby nie potężne, przeszło dwumetrowe wyrwy w dnie suchego koryta. Powstały one wtedy, gdy doliną waliło po 5000 metrów sześciennych wody na minutę.

Okresowa rzeczka Wolanka to lewy „dopływ” Kamiennej. Jej suche ujście do tej rzeki znajduje się w malowniczym przełomie wsi Bałtów, między Ostrowcem Świętokrzyskim a Ćmielowem. Wyschnięte ujście Wolanki pokrywa darń i żwir. Dno koryta wyraźnie wcina się w niską i szeroką terasę. W miarę jednak posuwania się w górę doliny spostrzeżemy, że koryto staje się coraz płytsze. A w końcu całkowicie zanika.

W owej upamiętnionej tragicznym wylewem Wólce Bałtowskiej miejsce koryta zajmuje już szeroka dolina porośnięta marną, niską trawą. Gdzieś w połowie biegu Wolanki natrafiamy wreszcie wśród gęstych traw na pierwsze oznaki wilgoci — niewielkie bajorko i rowek napęczniony wodą, która jednak nie wykazuje tu nawet najsłabszego

O dziwnej rzece Babilon, która zniszczyła olkuskie kopalnie i w swym korycie pojawia się raz na parę lat pisaliśmy już w 3 numerze ZIEMI. Ta jednak rzeka, którą badał Andrzej Łaszczyński jest jeszcze dziwniejszym zjawiskiem przyrodniczym. Płyńcie ona pod ziemią. Tylko czasem jej wody gwałtownie wylewają na powierzchnię, siejąc zniszczenie. Bieg podziemnej rzeki badali francuscy grotolazi w pirenejskim awenie Pierre St. Martin. Z podziemnymi potokami zetknęli się niejedną raz i nasi grotolazi w jaskiniach tatrzańskich. Rzeka jednak, o której pisze A. Łaszczyński, płynie w okolicach gdzie nikt dotychczas jaskiń nie szukał i gdzie istnienia ich możemy się dziś co najwyżej domyślać.

prądu. Znajdujący się o kilkanaście metrów dalej 4-metrowy stary kamieniołom ma dno zupełnie suche, mimo iż otacza go teren piaszczysty. Od tego miejsca strużka wody stale się powiększa. O 2 km wyżej ma już dwa metry szerokości, przy 25 cm głębokości. W ciągu minuty przepływa tu około 2,5 m³ wody. Stan taki utrzymuje się mniej więcej aż do miasteczka Sienna. Powyżej tej miejscowości wody w Wolance jest nieco mniej, gdyż rozdziela się ona na dwa ramiona. Prawe, wypływające ze stawów pod wsią Krzyżanówka, miejscowa ludność uważa za właściwą Wolankę. Dolina Wolanki obfituje nadto w boczne, suche dolinki.

Z wiosną na całej długości doliny płynie zazwyczaj wąska struga aż do jej ujścia. Ale później woda znika i część doliny użytkują okoliczni chłopcy pod uprawę. Podobnie zresztą jak to się dzieje w Chinach, gdzie głód ziemi również zmusza tamtejszych wieśniaków do uprawy koryt rzek okresowych, mimo że woda wyrządza im nieraz sporo szkód. Jak jednak wytłumaczyć nagły olbrzymi wylew w 1951 r., który nastąpił po jednym tylko deszczu? Czy zawsze Wolanka była nikłą, okresową strugą?

Starzy mieszkańcy okolicznych wiosek opowiadają, że jeszcze jakieś 50 lat temu Wolanka płynęła stale i urodzaje wówczas miały być znacznie lepsze. Za powód zniknięcia wody podają podwyższenie dna doliny przez namulony wód okresowych, na co zresztą wskazywałyby zamulone pnice wierzbowe. Coraz suchsze są podobno lata, coraz mniej wody nie tylko w Wolance, ale i w miejscowych studniach. I dziś jednak możemy w dolince Wolanki natrafić na wodę ale dopiero ok. 5—6 metrów pod obecnym dnem koryta. Niedługo pod Siennem miały bić obfite



źródła. Później jednak jakoby zostały one zasypane. Nie znalazłem wprawdzie ich śladów ale nie jest wykluczone, że działają one niekiedy i dziś w czasie wielkich opadów. W dolinie Wolanki nigdzie nie spotkamy wywierzyśka choć w okolicy istnieją ku temu warunki. Przecież przełom Kamiennej przebiega wapienie jurajskie, a w Bałtowie po przeciwnej stronie Kamiennej znajdujemy cały system silnych wywierzyśka na poziomie ok. 145 m npm.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że dolina Wolanki zaczyna się nieco powyżej 200 m npm., a przy ujściu osiąga poziom nie niższy jak jakie 150 lub najmniej 148 m npm. Być może, że w tym kryje się tajemnica. Dno znajduje się powyżej poziomu wywierzyśkowego, więc tylko przy wielkich opadach woda może wypłynąć na powierzchnię, a normalnie główny swój nurt toczy pod ziemią. Wskazywałby na to poziom wody pod dnem Wolanki w Wólce Bal-

towskiej oraz poziom wód w studniach, położonych w górnym biegu rzeki. Powierzchniowe i niezbyt obfite wody górnego biegu natrafiają w rejonie Trzemchy na podziemne próżnie chłonna wodę. I w nich znikają. Nie małą rolę odgrywałby w tym stary kamieniołom w Trzemsze. Warto byłoby może pokopać w nim a kto wie, czy nie natrafiliby się na potężny system jaskiń. Nikt ich tu dotychczas nie szukał. Już w samym Bałtowie znalazłem szczelinę skalną, rodzaj kominka o gliniastym dnie, w którego górnej części, wśród gliny i skalnego rumoszu czernieje niewielki otwór. Zieje on silnym strumieniem zimnego powietrza. Usunięcie gliny i skalnego gruzu byłoby wprawdzie mozolnym przedsięwzięciem ale kto wie czy trud ten nie opłaciłby się wielokrotnie? Może jest to wylot jaskini? Kto wie czy tropiąc znikającą Wolankę nie znajdziemy klucza do niezbadanych podziemi dorzecza Kamiennej?



Siedem kilometrów na południe od Jarocina samochód mija słupek z żółtą tablicą, na której czarne litery układają się w nazwę GOLINA. Po obu stronach szosy pojawiają się niskie chałupy i zabudowania gospodarcze, oparkanione ogródki i skupiska starych drzew. Rozrzucana szeroko i nieregularnie wieś przypomina latem wielką kępę rzuconą pośród płaskich wielkopolskich pól. Miejscowość to stara pamiętająca czasy groźnego Marka Borkowica, którego gród warowny wznosił się w połowie XIV wieku w pobliskim Koźminie na tym samym miejscu gdzie sterczą do dzisiaj grube mury średniowiecznego zamczyska.

Ale dziś nic tu na pozór nie ma godnego uwagi. Wystarczy jednak zajrzeć do chałup, do małego kościółka drewnianego o pobielonych ścianach do świeżo otynkowanych domków nad wąską strugą Lubieszki, aby szeroko otworzyć oczy ze zdumienia. W czystych izbach chłopskich leżą na stołach i sprzętach bajecznie piękne hafty — obrusy i serwetki, ażurowe kapy, poduszki i ozdobne ręczniki. W kościelnej zakrystii pokazażą przybyszom ozdobne komeżki, alby i obrusy ołtarzowe.

Warto nachylić się nad tymi pajęczynkami i przyjrzeć się z bliska misternej robocie, wzorom, kompozycji i delikatnym deseniom — mamy bowiem przed sobą dzieła hafciarskiej sztuki ludowej, słynne w całym kraju i poza jego granicami — snutki wielkopolskie. Stanowią one najciekawszą odmianę dość jeszcze licznie występującego w Poznańskim hafciarstwa ludowego, w którym najbujniej przejawia się talent i fantazja wielkopolskich wieśniaczek. Stara to sztuka, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Najczęstszymi motywami są w haftach kwiaty i owoce, głównie kiście winogron. Ale prócz motywów roślinnych wielkopolskie chłopki stosują formy geometryczne i kombinowane. Nie brak więc w haftach gwiazd kótek, ząbków i elips. Nie mała również rola przypada serduszkom. Na wielu haftach występują one całymi gronami. Ciekawy ten motyw zaczerpnięto ponoć z natury. Gotowy wzór rzucał się w oczy w wiejskich ogórkach, w których przed laty rozpowszechniony był szczególnie gatunek bylin (*dielytria spectabilis*), rozkwitający pęczkami drobnych serc.

W odróżnieniu od kolorowych haftów regionów — haft wielkopolski był zawsze i pozostał biały. Jedyne wyjątek stanowiły dawne czepki oczeplinowe, które zdobiono złotymi nićmi i naszywkanymi barwnymi blaszkami. Ta białość nadaje haftom wielkopolskim szczególną delikatność i wymaga stosowania szlachetnych tkanin podkładowych. Stąd najczęściej hafty wielkopolskie występują na tiulu, batyście i kolorowych płócienkach fartuchowych. Sama natomiast technika haftowania jest dość

różnorodna. Spotykamy więc hafty pełne, ażurowe, podkładowe i snute. Najpiękniej prezentują się te ostatnie i te właśnie stosują wyszywaczki z Golicy.

Jak powstaje snutka? Wzór haftu rysuje się bezpośrednio na płótnie. Potem poszczególne pola wzoru zasnawia się nitkami biegnącymi ponad materiałem a miejsca łączenia się nitki wzmacnia się kóteczkami lub pierścieniami obdzierganymi haftem pełnym. W końcu wycina się wszystkie skrawki materiału pod nitkami i w taki oto sposób powstaje ażurowy wzór o bogatych deseniach i niezwykłej lekkości.

Dzieje wielkopolskich snutek giną gdzieś w przeszłości. Zdaniem niektórych etnografów wywodzą się one z części składowej dawnej koronki renesansowej. Składała się ona z gotowych taśm fabrycznych połączonych ze sobą przy pomocy łańcuszków i kótek. Koronki takie rozpowszechnione były w XVII wieku we Francji skąd przedostały się aż na nasze dwory. Tam ujrzały je dziewczęta wielkopolskie i spróbowały skopiować.

Faktem jest natomiast, że w połowie XIX wieku snutki były w Golinie wyrabiane masowo i zdobyły przede wszystkim czepki, fryzki, koszule i zapaski. Pewną ilość oryginalnych eksponatów z tego okresu posiadało aż do ostatniej wojny Muzeum Narodowe w Poznaniu, ale uległy one zniszczeniu w czasie okupacji.

Pod koniec ub. stulecia haft na tiulu zaczął wypierać snutki i nie wiadomo czy ten rodzaj sztuki przetrwałby do naszych czasów, gdyby nie roztoczyła nad nią troskliwej opieki ówczesna dziedziczka Golicy — Helena Moszczyńska. Ona to począwszy od schyłku ubiegłego stulecia aż po rok 1945 nie ustawała w zachęcaniu chłopek do haftowania snutek i dążąc do przekazania sztuki haftowania młodemu pokoleniu, uczyła w swym pałacu dziewczęta golińskie starych wzorów hafciarskich. Za jej również poręką snutkami zaczęto zdobić bieliznę kościelną. Z okresu działalności Moszczyńskiej zachował się aż do roku 1940 wspomniały obrus ołtarzowy wykonany przez siostry Banaszyńskie dla kościoła w Poniecu, a do dzisiejszego dnia przetrwał inny obrus, wykonany przez Helenę Bernasowską i Michalinę Pawlak w kościółku golińskim.

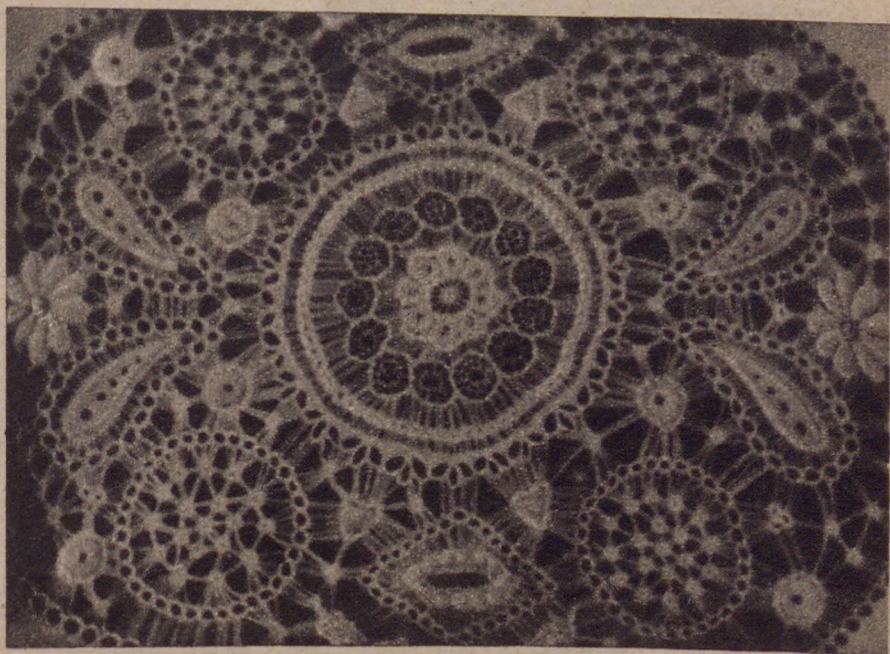
Ostatnie lata sprzyjają rozwojowi hafciarstwa snutkowego. Dzięki troskliwej opiece Wydziału Kultury Prezydium WRN w Poznaniu golińskie wyszywaczki nie mogą narzekać na brak roboty. W pierwszych latach powojennych, gdy brak odpowiedniego materiału dawał się w Golinie dotkliwie we znaki, Wydział zainteresował szereg instytucji trudnościami hafciarskimi i spowodował, że potrzeby ich zostały zaspokojone. W 1947 roku snutkami zainteresowała się Wielkopolska Spółdzielnia Prze-

U GOLIŃSKICH WYSZYWCZEK

TAD. PASIKOWSKI



Obok: dwa pokolenia golińskich wyszywczek — Helena Bernasowska z córką Zuzanną. Poniżej: fragment ornamentu snutkowego wykonanego przez H. Bernasowską. Fot. T. Pasikowski



mysłu Ludowego w Poznaniu a w latach następnych Związek Samopomocy Chłopskiej i Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego.

Dzisiaj prawie w każdej chałupie pochylają się głowy kobiece nad białymi płótnami. Golińskim wyszywaczkom przewodzi Helena Bernasowska haftująca już od 20 lat. Obok niej pracuje córka Zuzanna a w sąsiednich chałupach Jadwiga Skowron, Maria Ignasik, Helena Grygier, Krystyna Tomaszewska i wiele, wiele innych.

Wytwory ich zwinnych palców budzą podziw na wystawach sztuki ludowej, wędrują za granicę. Rozszerzył się wachlarz asortymentów snutkowych i obok dawnych serwet, obrusów i kap powstają dziś liczne akcesoria artystycznych ozdób odzieżowych i domowych — kołnierzyki, mankieciki, bielizna dziecięca, komplety serwetkowe do sypialni, szlaki do obrusów i bielizny pościelowej, narzuty i firanczki, odzież liturgiczna i wiele innych.

KRÓLEWSKA

HUTA

WĄDOŁEK

żelaza gwałtownie wzrosła, dając zarobek ludności dalszych okolic. Głównym dostawcą rudy były w dalszym ciągu ziemie dawnej Polski.

Kiedy po pokoju w Tylży 1807 roku powstało Księstwo Warszawskie, a po r. 1815 Królestwo Polskie, największa baza surowcowa huty w Wądołku odpadła, a głównym dostawcą rudy darniowej pozostały okolice Klonu, Chochoła w powiecie szczytnieńskim i Turośle w powiecie piskim. W powiecie mragowskim (Ukta) znaleziono pod 30 centymetrową pokrywą ziemi znaczne złoża rudy darniowej. Baza surowcowa była więc dla huty zapewniona. Potrzebne natomiast dla produkcji żelaza wapno kamiennie sprowadzono z okolic Białej Piskiej. Węgiel drzewny zdobywano w okolicznych lasach. W związku z tym w okolicy rozwinęła się na znaczną skalę produkcja smół. Ruda darniowa zawierała również pewne ilości kwasu fosforowego.

Produkcja huty przyniosła znaczne dochody. Czysty zysk wynosił rocznie przeciętnie 1000 — 2000 talarów.

Gdy pod koniec roku 1807 zbudowano wielki młot żelazny w pobliskiej wsi Piskorzewo, huta dostarczać zaczęła również masę wyrobów żelaznych jak: garnki, łańcuchy, blachy różnego rodzaju i proste narzędzia rolnicze. Towary huty rozchodzili się po całych Prusach Wschodnich i północnych terenach Królestwa Polskiego. Z czasem Piskorzewo stało się małym ośrodkiem przemysłowym, w którym wyrabiano również śrutowniki i maszyny do cięcia siewki.

Ciężki dla Mazur i Warmii okres wojen napoleońskich nie zahamował rozwoju huty. Dopiero gdy po r. 1870 w Niemczech Zachodnich następuje gwałtowny rozwój przemysłu, huta w Wądołku nie wytrzymuje konkurencji towarów przysyłanych z zachodu i musi ulec zamknięciu. 5 października 1880 opuścił hutę ostatni jej kierownik Bruckauf. Huta w Wądołku jako przedsiębiorstwo państwowe przestała istnieć, ponieważ nie stanowiła już pewnego źródła dochodu.

Znaleźli się jednak prywatni przedsiębiorcy, którzy chcieli rozpocząć na nowo produkcję. Z Królestwa Polskiego przywędrował w r. 1882 przedsiębiorca Zalkiewicz. Pracował tylko 6 miesięcy, gdyż władze rosyjskie podniosły znacznie cło na wyroby żelazne i jedyny obecnie rynek zbytu dla huty w Wądołku — Królestwo Polskie — został odcięty. Zalkiewicz opuścił Wądołek jako człowiek całkowicie zrujnowany.

Niepowodzenie Zalkiewicza nie odstraszło karczmarza z Piskorzewa Woszydy. U uruchomił on mały piec odlewniczy i wyrabiał narzędzia żelazne z dawnego materiału. Lecz i on nie utrzymał się długo — ceny bowiem żelaza gwałtownie spadły, a ceny drzewa i węgla drzewnego wzrosły.

Ostatecznie w roku 1899 zlikwidowano hutę, hale i piece rozebrano, maszyny sprzedano na złom. Pozostała tylko emaliernia, którą wydzierżawiono i przerobiono na młyn. Jednakże w r. 1907 i ta pozostałość po hucie została zniszczona. Ogród owocowy, budynek administracyjny obecnej leśniczówki, pozostałości dawnych fundamentów — to jedyny obecnie ślad prosperującej kiedyś huty żelaza, zaopatrującej w swe wyroby północną część Królestwa Polskiego.

Czwierć wieku temu żyli jeszcze w Wądołku i Piskowie dumni hutnicy. W roku 1936 zmarł ostatni z nich.

Uważny badacz historii Warmii i Mazur zwiedzający bibliotekę Muzeum Rzemiosła Artystycznego w Berlinie zwróciłby uwagę na rysunki techniczne pieca hutniczego w Wądołku. Wykonał je w roku 1798 Eiselen, wychowanek wschodniopruskiej Szkoły Budowlanej dla Królewskiej Huty Żelaza w Wądołku, której stuletniego istnienia nie domyślają się nawet turyści wędrujący po pełnych uroku ziemiach Warmii i Mazur.

TADEUSZ GRYGIER

Produkcja żelaza na Mazurach i Warmii znana była od dawna. Wiadomości o niej sięgają XII wieku. Podstawowy surowiec stanowiła ruda darniowa występująca w znacznej ilości na terenie Mazur i Warmii. Jedną z hut, której akta zachowały się najlepiej, jest huta w Wądołku w powiecie piskim. W początku XVIII wieku nazwy Wądołek nie było. Na obszarze należącym do wsi Piskorzewo, po prawej stronie rzeki Pisy, blisko dawnej granicy z Polską — istniały dwa jeziora, na przejściu których postawiono młyn wodny. Właścicielem tego młyna był niejaki Krzysztof Lipka. Dopiero w r. 1775 nazwano ten młyn Wądołkiem.

Po rozbiorach, przez przyłączenie ziem polskich do Prus Wschodnich, życie gospodarcze tej okolicy ożywiło się. Przede wszystkim usławniono rzekę Pisę, by przez nią utrzymać handel z ziemiami leżącymi nad Narwią i Wisłą. Ponieważ na nowo przyłączonych terenach Polski znajdowały się znaczne ilości rudy darniowej, władze pruskie postanowiły założyć dla tych terenów jedną centralną hutę. Tym sposobem 4 maja 1799 roku powstała oficjalnie Królewska Huta Żelaza Wądołek. Kierownikiem Huty został inspektor podatkowy Grossman. Zaczęto sprowadzać robotników i majstrów i osiedlać ich koło huty. Powstały więc nowe wsie, nowe życie; Wądołek połączono kanałami z Pysą. Produkcję żelaza zaczęto od razu, jednakże wielki piec hutniczy ustawiono dopiero w końcu roku 1804. Z tą też chwilą produkcja

Stare okucia — zawiasy i wykładki do zamków u drzwi, z terenu Warmii i Mazur. Rysował D. Walknowski



MALOWANE ODRZEWIA

IZBA MIENI SIĘ KOLORAMI. NIEBIESKIM, ŻÓŁTYM, CZERWONYM, ZIELONYM. POD POWAŁĄ RZĄD WIEJSKICH ŚWIĘTYCH A NA BELCE PUŁAPU NAPIS:

Stogostwar, Smie 10. Miastania, Zachowaj, ognia, (12) Osiety, Złoty, Jan, Kłopot, Jan, Witk, Marjona, Tarc, w, 1810, 1811, 1812, 1813, 1814, 1815, 1816, 1817, 1818, 1819, 1820, 1821, 1822, 1823, 1824, 1825, 1826, 1827, 1828, 1829, 1830, 1831, 1832, 1833, 1834, 1835, 1836, 1837, 1838, 1839, 1840, 1841, 1842, 1843, 1844, 1845, 1846, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856, 1857, 1858, 1859, 1860, 1861, 1862, 1863, 1864, 1865, 1866, 1867, 1868, 1869, 1870, 1871, 1872, 1873, 1874, 1875, 1876, 1877, 1878, 1879, 1880, 1881, 1882, 1883, 1884, 1885, 1886, 1887, 1888, 1889, 1890, 1891, 1892, 1893, 1894, 1895, 1896, 1897, 1898, 1899, 1900, 1901, 1902, 1903, 1904, 1905, 1906, 1907, 1908, 1909, 1910, 1911, 1912, 1913, 1914, 1915, 1916, 1917, 1918, 1919, 1920, 1921, 1922, 1923, 1924, 1925, 1926, 1927, 1928, 1929, 1930, 1931, 1932, 1933, 1934, 1935, 1936, 1937, 1938, 1939, 1940, 1941, 1942, 1943, 1944, 1945, 1946, 1947, 1948, 1949, 1950, 1951, 1952, 1953, 1954, 1955, 1956, 1957, 1958, 1959, 1960, 1961, 1962, 1963, 1964, 1965, 1966, 1967, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972, 1973, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1979, 1980, 1981, 1982, 1983, 1984, 1985, 1986, 1987, 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000

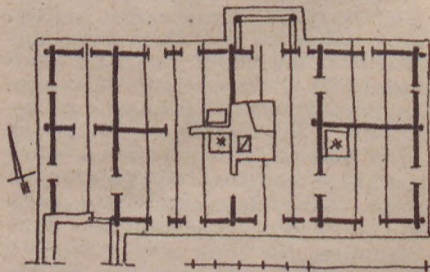
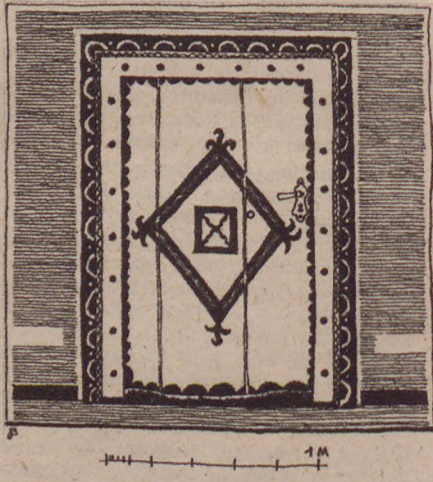
Swiadczy on o wieku chaty, być może jednej z najstarszych w krakowskim powiecie. W każdym razie na pewno najstarszej w Sulechowie, a ściślej mówiąc w jego przysiółku Cymigach. Choć w 1923 r. chałupę odnawiano i nie ma ona już dziś słomianej strzechy, to jednak zwraca uwagę zarówno swym wyglądem zewnętrznym jak i pięknym wnętrzem. Dziś już niewiele mamy takich chałup, ta zaś jeszcze bardziej niż inne zasługuje na uwagę ze względu na swój malowany „portal”. Zdobi on frontowe drzwi wejściowe, rzadko używane i mające charakter reprezentacyjny. Ich „ważność” podkreśla ganeczek z ławeczkami przeznaczonymi na niedzielne popołudnia. Podobno dawniej — gdy jeszcze czas nie uszkodził malowideł — wracający z kościoła ludzie zatrzymywali się tu i dziwowali. I teraz zresztą jeszcze zwracają one uwagę resztkami swej świetności.

Drzwi pomalowano na jasnożółty kolor. Na środku widnieją dwa czerwone kwadraty. Również czerwoną farbą obwiedziono brzeg drzwi. A odrzwia? Wewnętrzna ich strona — niebieska. Zewnętrzna — żółta jak drzwi, ale ciemniejsza. Na niej czerwono-żółto-biały ornament. Wreszcie całość otacza jasnoniebieski, zielony i biały pasek. To całości stanowi niemal granatowa ściana. Kiedy i w jaki sposób wykonano te malowidła? Wymalowała je prawie ćwierć wieku temu 70-letnia dziś mieszkaneczka tej chałupy, p. Witkowska. Z wiosną i w lecie gdy było sucho i

ciepło, warunki sprzyjały tej pracy. Najpierw drewno trzeba było powlec białą farbą zmieszaną z pokostem. Po upływie dwu dni malowano je żółto i czerwono, wykonując — nim farba wyschła — suchym pędzlem „wężyki”. Wreszcie całość pokryto pokostem. Malowidła nie należało zbyt często myć wodą, natomiast dobrze było je natłuścić. To zapewniało kolor i trwałość.

Skąd jednak malarka wzięła sam pomysł? Wzorowała się na drzwiach rodzinnego domu. Dom ten był podobno bardzo stary. Już wtedy niewiele chałup tak malowanych stało w Sulechowie i okolicy. Wynika z tego że dekoracja drzwi jest — być może — kontynuacją dawnej miejscowej tradycji. Jak dawnej, nie wiadomo. Patrząc jednak na odrzwia trudno nie skojarzyć ich z renesansowym portalem. Szeroki pas z kółkami, wąski sznur perełek, szereg „wolicz oczek” i cienka, gładka listwa — odpowiedniki tego wszystkiego widać w cymigowskich odrzwia. A same drzwi swym malowidłem przypominają żelazne okucia. Czyżby więc ów malowany wiejski „portal” był ginącym a nieznanym ogniwem renesansowych tradycji? Przecież właśnie renesansowe elementy przechowały w swym malowidle słynne skawińskie skrzynie, tak częste we wsiach podkrakowskich. A może mamy tu po prostu do czynienia ze zjawiskiem podpatrzenia wzorów zabytkowych portali w pobliskim Krakowie?

IANUSZ BOGDANOWSKI





NA CZYM GRA WIELKOPOLSKI DUDA?

*Ja ona kobza sławna, z dereniu zrobiona,
Z cnoty nad cytry swemu panu ulubiona;
Dziś dla lutni wrzucona, brzęczę z świerszczami.*

Tak się skarżyła (w Jana Gawińskiego *Sielankach* z r. 1650) kobza, to jest — jak podaje *Słownik Lindego* — „staroświecka lutnia czyli lira, narzędzie do grania o trzech strunach“. Bartosz Paprocki, heraldyk, historyk i poeta, w wydanym w r. 1576 *Kole rycerskim* pisze: „Kozacy z wielkiej radości niewymowne sztuki pokazywali, strzelając, śpiewając, na kobzach grając“, a Matyas z Podola: „Skoro rano, to w kobzę dumy sobie grają“. Aleksander Brückner w wydanej w r. 1939 *Encyklopedii staropolskiej* pisze, że „kiedykolwiek mowa o [kobzie] czy o kobeźnikach na niej grających, zawsze łączy się ją z Ukrainą i Kozakami, którym słynni kobziarze nucili dumy historyczne przy kobzie“. Tenże uczony w swym *Słowniku etymologicznym języka polskiego* z r. 1927 podaje, że kobza doszła do Polski „przez Ukrainę i Kozaków, ale cofała się przed lutnią i cytrą; wyrabiana z dereniu dumom towarzyszyła“.

Kobza była więc instrumentem strunowym. Łukasz Górnicki w *Dworzaniu polskim* (r. 1566) pisze: „Łatwiej na kobzie dwie stronie [= struny] nastroić, niż trzy, żeby się z sobą zgadzały“. Zrobiona była z dereniu, drewna krzewu rosnącego na Ukrainie, zwłaszcza na Podolu. Miała prawdopodobnie od 3 do 10 strun, a więc wielkość tego instrumentu była różna. Struny szarpano kosteczką lub gęsim piórem. Kobza, jedna z odmian ludowej lutni, znana niegdyś na Ukrainie, w wieku XVI zanikła w Polsce zupełnie.

Tymczasem w naszym aktualnym piśmiennictwie, zwłaszcza w prasie, i w mowie żywej stale wyraz kobza odnoszony jest do instrumentu dzisiaj w Polsce używanego. Tak na przykład orkiestry naszych przedwojennych pułków strzelców podhalańskich miały w swych składach — „kobzy“, szkockie

pułki gwardyjskie (te w spódniczkach) mają orkiestry — „kobziarzy“ itp., choć przecież owe polskie czy szkockie „kobzy“ to instrumenty wcale nie strunowe: są to instrumenty złożone ze skórzanego mieszka (worka) i dwóch piszczałek nierównej długości, z których każda ma dziurki; grający na tym instrumencie dmie w piszczałkę, a miech gniecie pod pachą. Instrument ten nosił i nosi inną nazwę: dudy. Tak jak i kobza używany był u nas (a także u Łużyczan) do wtórowania instrumentom smyczkowym, o czym świadczy na przykład Kasper Miaskowski, poeta przełomu XVI/XVII wieku, dając taką scenę z życia ulicy miejskiej w czasie zapustów:

*Jeszcze skrzypki i dudy słychać na
[ulicy:
Ci gonią dziewczki, cą je w kłocki
[zaprzęgają,
A one się nie bardzo — widzę
[ociągają.*

W księdze przysłów Knapskiego, z r. 1632, mamy przysłowie: „Jak dudy nadmiesz, tak grają“. W *Zabawach przyjemnych i pożytecznych* z XVIII wieku czytamy: „Zawołamy dudarz już nadyma skórę“. U Lindego *d u d a r z* to ten „co na dudach gra, gajda, der Dudelsackpfeifer“. U Reja czytamy: „[...] niżli gdybyś leżał za piecem, na ścianę nogi wniósł, a w kobzę grając [...]“ — dość trudno sobie wyobrazić granie w takiej pozycji na instrumencie złożonym z miecha i piszczałek...

Jaka jest przyczyna tego nieporozumienia, skąd to utażsamianie kobzy z dudami i kobziarzy z dudziarzami?

Brückner w cytowanym *Słowniku* podaje, że wyraz kobza mieszano z kozą, która to nazwa oznaczała właśnie — dudyl! O tym, że dudy zwano również kozą wspomina Brückner także w *Encyklopedii staropolskiej*. A więc



Z prawej: dudy, instrument „dudziarza“ Wł. Pluty z Pewli Wielkiej w pow. żywieckim. Fot. Waclaw Nowak. U góry: duda wielkopolski z Biskupizny. Fot. Wiesław Tomaszkiwicz. Na str. 12 — jeden z ostatnich beskidzkich „gajdziarzy“, Jan Kawulok z Istebnej. Str. 13 — słynny szkocki dudziarz (rzekomy kobziarz) wojskowy. Oddziały szkockie mają orkiestry składające się z takich właśnie instrumentów

z kozy zrobiono kobzę, stąd też dudy nazywane są kobzą! Tymczasem dudy to to samo co koza, ale nie to samo co kobza!

Dudy prawdopodobnie nazywano także kozicą. Nazwę tę zna Mickiewicz, ale i on uległ „mistyfikacji” i w *Panu Tadeuszu* w tę kozicę (a więc — w dudy) każe dąć — kobeźnikom (a nie — dudziarzom):

*Patrz, stoj cymbalista, skrzypek
[i kozice:
Pocziwi muzykanci — już się
[skrzypek zżyma,
A kobeźnik kłania się i żebrze
[oczyma
(ks. XII, w. 626—8)*

Odmianą dud był kozioł (o czym również pisze Brückner w *Encyklopedii*). Cytowany wyżej Kasper Miaskowski pisze: „nie masz nad nasze z krzywym rogiem dudy” i „temu kozioł za uchem z długim bekiem wrzeszczy”. Kozioł, instrument znacznie większy niż dudy, dotrwał do dziś w Wielkopolsce, gdzie obecnie jest najwięcej dudziarzy: na kozłach grywają nadal kozłarze spod Zbąszynia (powiat Nowy Tomyśl, na półn.-zach. od Wolsztyna) i dalej na zachód, w okolicy Dąbrówki Wielkopolskiej, wsi oddalonej o 8 km od Zbąszynia (powiat międzyszycki, województwo zielonogórskie, na linii Zbąszynek — Międzyrzec); grywają u siebie na wsi i niekiedy nawet — w radio: audycje te nadaje rozgłośnia poznańska.

Kozły słynne były w Niemczech w XVI i XVII wieku jako *der polnische Bock* (dosłownie „polski kozioł”). Nazwę dud Niemcy zapożyczyli

od Słowian: *Dudelsack* (czasownik *dudeln* = grać na dudach). Oprócz Europy środkowej dudy były znane i w Europie zachodniej — do dziś używane są w górach Szkocji — mniej na wschodzie i południu. W Polsce oprócz kozłarzy wielkopolskich na dudach grają górale śląscy, żywieccy, podhalańscy. Znane są też Huculom. Dudy podhalańskie oraz dudy wielkopolskie spod Wolsztyna zobaczyć też można w poznańskim Muzeum Instrumentów Muzycznych (filia Muzeum Narodowego, na rogu Starego Rynku i ulicy Woźnej).

Grajek grający na dudach nazywa się dudziarzem (dudarzem). Często spotykamy go w literaturze (w starszej właśnie pod tą nazwą). Na wsi wielkopolskiej dudziarz zwany jest dudą. Wskutek pomieszania kozy (kozicy, kozła) z kobzą, kozłarzem, czyli dudziarzem grający na kozle, nazwany został — kobziarzem (kobeźnikiem), czyli ostatecznie dudziarzem (duda) nazywany jest kobziarzem. Może było zresztą odwrotnie: wskutek pomieszania kozłarza (dudziarza) z kobziarzem, kozły (kozy) stały się kobzami, czyli ostatecznie dudy stały się kobzami.

Mieszanie kobzy z dudami i kobziarzem z dudziarzami spotykamy stale w prasie. Często nawet autorzy czynią to świadomie. Na przykład: P. Roguska-Cybulska w art. pt. *Skansen w Zakopanem*, w nrze 407 *Tygodnika Powszechnego* pisze: „[...]komplet starodawnych instrumentów muzycznych, a więc dudy, czyli kobzy (podkr. moje); w oryginale błąd drukarski: kobzy, a więc według autorki dudy = kobza.

Ba, prasa; wiadomo, że w ogóle nie dba ona o poprawność słownictwa. Ale

w wypadku dudów — kobzy prasa może się powołać na współczesne słowniki. Tak! Bo na przykład poważny *Nowy słownik języka polskiego*, wydany w r. 1939 w wydawnictwie Trzaski, Everta i Michalskiego, „instrument ludowy złożony z piszczałek i miechów” nazywa właśnie — kobzą. Instrument ten nazywa kobzą powołując się na Lindego, choć według Lindego, jak to cytowaliśmy na początku naszego artykułu, kobza to „narzędzie do grania o trzech STRUNACH”. *Nowy słownik instrument „złożony z piszczałek i miechów” nazywa kobzą, choć podaje, że wyraz ten pochodzi z tureckiego wyrazu kobuz, który oznacza — „rodzaj gitary o jednej STRUNIE”. Jako wyraz równoznaczny wyrazowi kobza słownik ten podaje wyraz — duda, a jako równoznacznik wyrazu kobziarz — wyraz dudziarz!*

A więc nieporozumienie to utrwała swym autorytetem nawet tak poważny słownik. Tak samo jest w naszych słownikach dwujęzycznych.

*

Taki artykuł (bez zdania o Muzeum Instrumentów Muzycznych) napisałem gdzieś w r. 1952. Tuż po jego napisaniu znalazłem w *Bibliografii etnografii polskiej za rok 1947*, zebranej przez I. Barową (Kraków — Lublin 1949), odnotowany artykuł naszego znanego muzykologa prof. dra Józefa W. Reissa pt. *Nie kobziarz, lecz dudarz lub dudziarz*, ogłoszony w nrze 17 z r. 1947 *krakowskiego tygodnika Młoda Rzeczpospolita*. Ponieważ na ten temat — jak z tego widać — już pisano, artykułu mego nie próbowałem publikować.

Ale od czasu do czasu w prasie nadal czytałem o „kobziarzach” gdy była mowa o dudziarzach (cytowanie przykładów zajęłoby zbyt wiele miejsca, więc je tu pomijam). Gdy wreszcie jesienią 1954 r. w *Kronice Filmowej* na uroczystych ogólnopolskich dożynkach w Lublinie ujrzałem dudziarzy, których defiladzie, i grze na dudach, „akompaniował” głos czytającego tekst: „Oto idą kobziarze[...]” — wygrzebałem rękopis artykułu, otrzeptałem go z kurzu i, uzupełniwszy tym, co niżej, postanowiłem jednak ogłosić, aby znów przypomnieć, że dudy to nie kobza, i że dudziarz to nie kobziarz.

W wydanym w r. 1953 zeszycie 3. *Słownika etymologicznego języka polskiego* Franciszka Sławskiego wyraz dudy objaśniony jest następująco: „instrument muzyczny złożony z piszczałek i skórzanego mieszką”, (również duda, ale w znaczeniu „ten co na dudach gra”); w gwarach dudy oznaczają „wnętrznosci zwierzęce” (przypomnieć tu warto — barszcz na dudkach); czesk. dudy oznacza „dudy”, ros. duda, dudka to „prymitywna piszczałka”, ukr. duda też „trzcina, rura”, serbochorw. duda to „prymitywna dziecinna piszczałka, wydrążona trzcina”, słowen. duda — „piszczałka z miechem”. A teraz etymologia: według Sławskiego prasłowiańska duda jest ściśle związana z dźwiękonaśladowcami czasownikami takimi jak na przykład czesk. *dudlati*, co oznacza „mrużyć”, ros. *dudit'* — „pić wiele bez przerwy”; podobne dźwiękonaśladowcze wyrazy w innych językach: lit. *dudenti* — „nieprzerwanie trąbić”, niem. *tuten* — „trąbić”, itd. (szereż zob. u Sławskiego, s. 17).

Bo rzeczywiście dźwięk dud jest „dudniący”, dudnią one jak baki w locie.

Dlatego Jan Kochanowski w *Pieśni świętojańskiej o sobótce* przewał je właśnie bakami:

*Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniewi;
Baki na raz troje grały
A sady się sprzeciwiały*

(to znaczy: sady oddawały ich, dud, głosy; echo).

Prof. J. Krzyżanowski słowa: „baki na raz troje grały” objaśnia następująco: „trzy kobzy (dudy) grały równocześnie”. A więc znów utożsamienie dud z kobzą!

*

Tymczasem w nrze 109 *Problemów* pojawił się artykuł Z. Szulca, kustosa Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu, którego podtytuł brzmi: *Kobeźnicy nie grają na dudach, dudziarze nie grają na kobzach*. A więc znów nowe wyjaśnienie nieporozumienia. Dlatego artykuł mój, już uzupełniony danymi ze *Słownika Sławskiego* i „bakami” Kochanowskiego, po raz drugi poszedł do szuflady.

Ponieważ mieszanie kobzy z dudami spotyka się nadal i nawet — jak nieraz słyszę — krajoznawcy mówią o „kobziarzach podhalańskich”, więc jednak warto o nieporozumieniu tym znów przypomnieć.

Czy akcja ta da wynik? Stawianie znaku równania między wyrazami kobza i dudy jest już niemal powszechne w naszym języku, coraz bardziej się ugruntowuje, o dudach w znaczeniu instrumentu coraz rzadziej się słyszy (choć instrument ten jest nadal w użyciu). Kobzę z dudami utożsamia przede wszystkim prasa codzienna. Ale tak czynią również nawet poważni naukowcy wydawcy naszych klasyków: cytowałem wyżej objaśnienie prof. Krzyżanowskiego, teraz dodam jeszcze, że w tzw. wydaniu narodowym Mickiewicza do cytowanego przeze mnie fragmentu *Pana Tadeusza* dano następujący przypis: „Kozice — instrument dęty zwany kozą lub dudami, potem [!] także kobzą, znany dzisiaj jeszcze na Podhalu; składa się z miecha skórzanego, który „kobeźnik” [cudzysłów oryginału] (kobziarz) gniecie ramieniem, i z piszczałki, na której gra” („Czytelnik” Warszawa 1949). Przesunięcie — wskutek omyłki — znaczenia: „instrument dęty: miech i piszczałki” na wyraz kobza, którego desygnat jest dzisiaj archaizmem (instrument taki na ziemiach polskich już nie istnieje) — sankcjonują także nawet nowe słowniki, na czele z cytowanym *Nowym słownikiem języka polskiego* pod red. prof. T. Lehra-Splawińskiego, znakomitego naszego sławisty. A więc — wydaje się — błąd ten przestaje być błędem. W historii języka znane są podobne fakty, zarówno w zakresie słownictwa jak i gramatyki: wskutek omyłki lub innych przyczyn błędna, wykojejoną formą utrwała się w języku i po pewnym czasie — przestaje być błędna, staje się normą. Może też nastąpić na trwałe przesunięcie znaczenia wyrazów. Zjawiska takie nie są jednak pożądane w języku i choć należy się pogodzić z faktami — już całkowicie dokonanymi, to w wypadku jeżeli jeszcze istnieje u niektórych, w części społeczeństwa, świadomość, odczuwalność błędu — z błędem tym należy walczyć. Nawet jeśli walka ta ma nikle szanse powodzenia, a więc jeśli się nie można spodziewać całkowitego usunięcia błędu, bo już zbyt silnie się on zakorzenił, obo-





wiązkiem świadomych błędów jest o błędzie tym pisać i objaśniać go, jeśli jeszcze nie całkowicie się upowszechnił. W naszym wypadku wyraz dudy w znaczeniu instrumentu muzycznego jeszcze nie zanikł całkowicie w języku literackim. Trzeba go ratować.

Na koniec warto zacytować hasło dudy z niedawno wydanego fachowego *Słownika muzycznego* J. Habeli (r. 1956): „Jeden z najstarszych dętych instrumentów ludowych. Składa się z trzech części: a) skórzanego miecha, będącego zbiornikiem powietrza; b)

piszczałki zwanej bąkiem, która wydaje stale ten sam niski, tzw. burdonowy dźwięk, oraz c) fujarki, tj. piszczałki opatrzonej otworami, na której gra się melodię. Podczas gry powietrze przechodzi z miecha, umieszczonego pod pachą i naciskanego ramieniem, do pis-

czalek. Zależnie od terenu dudy występują w różnych odmianach i przyjmują rozmaite nazwy, np. kozioł, koza (nie kobza!)“.

ZYGMUNT BROCKI

MIASTO

GWARKÓW
ROZBÓJNIKÓW

TAD. ŻYCHIEWICZ

DOKOŃCZENIE

PRZEZ DWA WIEKI TRWAŁ POMYŚLNY ROZWÓJ SŁAWKOWSKIEJ OSADY GÓRNICZEJ A JEJ WŁAŚCICIELE NIE SZCZĘDZILI FUNDUSZÓW NA ROZBUDOWĘ SIEDZIBY CUDZOZIEMSKICH GWARKÓW. ALE ŚREDNIOWIECZNE METODY GÓRNICZE PRZEŻYŁY SIĘ I SŁAWKOWSKIE KOPALNIE OŁOWIU UPADAJĄ W XV WIEKU. DAWNE MIASTO GÓRNICZE ODRODZI SIĘ PÓŹNIEJ, LECZ TYLKO JAKO OŚRODEK HANDLU I RZEMIOSŁA. JAKO TAKI TRWAĆ BĘDZIE PRZEZ KILKA WIEKÓW. ZABUDOWA XX WIEKU ROZWINĘŁA SIĘ NA PERYFERIACH DAWNEGO SŁAWKOWA, ZOSTAWIAJĄC PIERWOTNE CENTRUM NA UBOCZU. I WŁAŚNIE DZIĘKI TEMU SPORO DAWNYCH ZABYTKÓW SŁAWKOWSKIEGO BUDOWNICTWA MIEJSKIEGO PRZETRWAŁO DO DNIA DZISIEJSZEGO. OCALAŁO TEŻ DAWNE ZAŁOŻENIE URBANISTYCZNE.

Zasadniczym typem lokalnej zabudowy podcieniowej są domy najczęściej drewniane o konstrukcji zrębowej i układzie kalenicowym, tynkowane i bielone, kryte gontowymi dachami łamanymi, opatrzone podcieniem utworzonym przez mocno ku przodowi wysunięty okap, wsparty na murypanych kolumnach o typie tokańskim.

Istniały także i pochodne lub pokrewne odmiany tego typu. Dawny ratusz sławkowski był np. murypanym budynkiem wolnostojącym; podcienia — również murypane — obiegały go wokół, podtrzymując wysoki, łamany, gontowy dach. Zachował się wreszcie do dziś na rynku — ostatnio zniekształcony nieco przebudową — dom, utrzymany w układzie szczytowym i opatrzone podcieniami drewnianymi, a więc inny od tych, które zajmowały ongiś wszystkie cztery pierzeje rynkowe.

Zagrody mieszczańskie budowano w zasadzie według jednakowego schematu użytkowego. Założona na prostokącie

część frontowa, zwrócona podcieniową elewacją ku ulicy, czy rynkowi — zawiera pomieszczenia mieszkalne niezadko przedzielone sienią przelotową. W tyle mieszczą się dziedzińce i zabudowania gospodarcze, dostępne bądź poprzez sieć budynku mieszkalnego, bądź przez boczne wjazdy.

Sławkowski typ domu podcieniowego, operujący pewną różnorodnością rozwiązań — zbliżony jest do pokrewnych przykładów drewnianego budownictwa Siewierza, Szydłowa, Ciężkowic, Kurozwęk i bardzo wielu innych ośrodków małopolskich, które jednak z reguły nie stosowały podcieni murypanych. Te ostatnie, łączone z techniką drzewną samego budynku — wydają się być specjalnością okręgu, jako że odnajdujemy je także w Czeladzi i Olkuszu.

Można by długo wyszukiwać i zestawiać analogie. Wynik i tak będzie jednaki:

Dawny nie istniejący ratusz sławkowski otoczony ze wszystkich czterech stron

wspartymi na kolumnach podcieniami i nakryty charakterystyczną czapą łamanego gontowego dachu — był jednym z najbogatszych i najbardziej wartościowych plastycznie przykładów małopolskiej architektury polskiej. Podobnie i najokazalszy dziś podcieniowy budynek sławkowski — karczma z zajazdem — wartościami architektonicznymi bije zdecydowanie pokrewne, ale nierównie uboższe przykłady budownictwa tego typu. I można żałować, że dziś oglądamy tylko resztki stanu już nie pierwotnego, lecz istniejącego jeszcze 40 lat temu. Ze trzeba omijać wzrokiem bezwyrzawowe, niekiedy i pretensjonalne nowobogackie domy rynkowe. Ze musi się wybierać — jak na polowaniu — „stanowiska” dla oceny cudów wyprawianych przez słońce zaplątane w kolumny przygarbionych sławkowskich podcieni.

Dobrze chociaż, że pozostaje jeszcze ucieczka w ciszę bocznych uliczek. Nie ma tu ani podcieni, ani nowszej szpetoty. Są krzywe płoty podparte gęstwiną bzów, bielone ściany trochę koślawe. Nisko nawisłe dachy z płatami mchu, miniaturowe okienka tuż nad ziemią — i nieodzowna pelargonja, czy mirt za szybami. I znów słońce na chropawych gontach i białych ścianach.

Wszystko to jest z całą pewnością piękne; ci jednak, którzy tu mieszkają — patrzą inaczej. Widzą — i słusznie — także zbutwiałe bierwiona, posadzki zżarte grzybem i zacieki wilgoci w zmurszałych wnętrzach.

Czy obiektywne racje obu stron, na pewno w jakiś sposób słuszne — muszą się wzajemnie wykluczać? Sądzę, że nie.

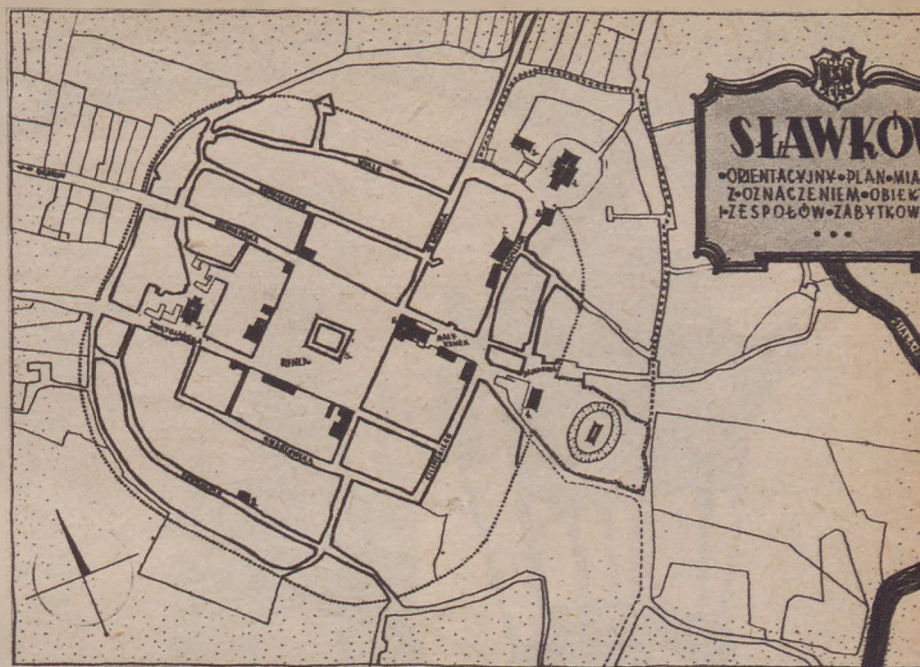
Czy jest jakiś rozsądny sposób pogodzenia dwu z pozoru przeciwstawnych punktów widzenia? Na pewno — tak.

Z pierwszej wojny światowej Sławków wyszedł „da capo” ubogi. Sztolnie uległy podówczas zatopieniu lub zalaniu, urządzenia przemysłowe zniszczeniu. W międzywojennym dwudziestoleciu reaktywowano górnictwo i przemysł sąsiednich obszarów Zagłębia Dąbrowskiego, ale w okolicach Sławkowa czynna była jedynie walcownia blach cynkowych pracująca na pozamiejscowym surowcu, oraz jedna kopalnia węgla. Dziś myśli się poważnie o pełnym wykorzystaniu zasobów geologicznych okręgu Sławkowa; projekty reaktywizacji są na tyle realne, że równocześnie przystąpiono do opracowania planu urbanistyczno-architektonicznej regulacji miasta.

Trudno oczywiście wymagać, aby ów projekt urbanistyczno-architektoniczny podporządkowany został wyłącznie kryteriom ocen plastycznych czy konserwatorskich. Można natomiast spodziewać się — i będzie to zapewne wspólną troską projektantów i władz konserwatorskich — że uszanowany zostanie w pełni niezwykle cenny układ urbanistyczny starego Sławkowa, zaś równie cenne i nieliczne już obiekty zabytkowe doczekają się zabezpieczenia technicznego i realizacji prac konserwatorskich. Ostatecznie trudno sądzić, aby wymogi praktyczne musiały zmierzać do zagłady wymienionych wartości; Sławków już dziś wyłączony jest z ruchu przelotowego dzięki przetrzuceniu szosy Olkusz — Katowice poza obręb miasta, zaś obszar staromiejski otaczają zewsząd tereny wolne od za-



Stary zajazd w Sławkowie. Fot. Tadeusz Chrzanowski



Powyżej: podcień starego zajazdu w Sławkowie, fot. T. Chrzanowski. Obok: kalenicowy dom podcieniowy z pocz. XIX w. przy ul. Kilińskiego 2 w Sławkowie. Fot. T. Żychiewicz

U góry z prawej: orientacyjny plan Sławkowa. Linia kropkowana oznacza granicę układu staromiejskiego. Linia „kropki-kreski” — granica obszaru grodowego. Ważniejsze zabytki: 1 — kościół farny z XIII wieku, 2 — kość. św. Jakuba, 3 — plebania (XVIII w.) 4 — dwór biskupi, 5 — ratusz, 6 — karczma, 7 — dawny szpital (XVIII w.), 8 — dworek, 9 — chałupa drewniana z połowy XVIII w. Czworokąty przekreślone na krzyż — zabytkowe domy podcieniowe.

budowy, umożliwiające lokalizację ewentualnych nowych kompleksów poza obszarem objętym ochroną.

I jeszcze jedna sprawa:

Zabytkowe domy sławkowskie warte są nakładów konserwatorskich nawet w tym wypadku, gdy ich stan techniczny pozostawia bardzo wiele do życzenia. Towarzysząca im zabudowa z końca wieku XIX, czy początków XX uciążliwa widokowo zwłaszcza na rynku — znajduje się w stanie również złym, ale o konieczności jej zachowania trudno oczywiście mówić. Jeśli nawet ze względów oszczędnościowych nie zniknie dziś — to i tak jej los będzie na dłuższą metę przesądzony. Co stanie na jej miejscu?

Istnieją archiwalne fotografie, rejestrujące ciągi domów podcieniowych na całych pierzejach rynkowych. Istnieją także zachowane resztki tejże zabudowy. Istnieją tym samym podstawy do dyskusji. I na koniec istnieją także luźne uwagi pewnego cudzoziemskiego turysty, przypadkiem zabłąkanego w Sławkowie.

Gość nie był ani malarzem, ani historykiem — ale stanąwszy przed sławkowską karczmą najwyczałniej w świecie zagapił się, zapomniawszy nawet splu-

nąć ogarkiem papierosa, przyklepionym do warg.

— Kto u was płaci za konserwację zabytków.

— Państwo.

Zdziwił się:

— Przecież wy tej egzotyki nikomu nie pokazujecie? Więc pieniądze się wracają?

Pamiętam, że byłem zlekka dotknięty i pełen politowania dla — jak mi się zdawało — gruboskórności przybysza. Cały bagaż słusznych skądinąd twierdzeń o „niewymiernych wartościach kultury” najczył się i stanął dęba w zestawieniu z tą kupiecką trzeźwością.

A prawda jest gdzieś pośrodku. Stan naszych zabytków — więcej nawet, bo stan całych miast zabytkowych — jest katastrofalny. U podstaw sytuacji leżą nie tylko obiektywne trudności gospodarcze i nie tylko rażące bezmyślnością błędy administracyjne, które spowodowały m. in. zupełne opustoszenie i kompletną ruinę szeregu ośrodków małomiastewskich. Sporą część winy ponosi także i powszechny brak zrozumienia roli i wagi zabytku. Przecież najczęściej każdy poszczególny obiekt trzeba gwałtem i przemocą wydzierać z chciwych rąk burzymurków i rozbieraczy, „ojców

miasta” i amatorów cegły. A więc w żadnym wypadku nie możemy zrezygnować z prawno-administracyjnej opieki i pomocy państwa. Nie możemy — i to jest również istotne — zrezygnować także z uporczywej propagandy oświatowej. Teza o niewymiernych wartościach zabytków kultury narodowej jest prawdziwa obiektywnie, prawdziwa nawet wówczas, gdy związana jest praktycznie z deficytowymi obciążeniami finansowymi.

Ale istnieje i druga strona medalu. Fama głosi, że polskie albumy architektoniczne mają ponoć nadspodziewanie duże powodzenie za granicą — nawet w krajach o wiele bogatszych w zabytki, aniżeli nasz. I nie jest ważne, ile w tym jest rzetelnego zainteresowania naukowego, czy estetycznego, ile zaś snobizmu nastawionego na działanie egzotyki kraju ukrytego do niedawna za „żelazną kurtyną”. Istotne jest, że nasz kraj, nasza architektura i nasze zabytki budzą zainteresowanie.

Więc może naprawdę istnieje jakiś potencjalny kapitał, jakich niewyżyskane szanse i możliwości? Możliwości bodaj częściowego przerzucenia obciążeń finansowych konserwacji na przynoszący dewizy ruch turystyczny obcokrajowców?

Możliwości dopomożenia państwu, w którym co rok więcej zabytków ulega ruinie, aniżeli jest zabezpieczanych?

Budżet państwowy Włoch opiera się w sporej części na dochodach z ruchu turystycznego. My oczywiście — przy naszym nieporównanie uboższym stanie posiadania — liczyć na to nie możemy. Ale wystarczy, jeśli bodaj niewielka część kosztów konserwacji będzie mogła być opłacana nie przez państwo i nie przez naszych rodzimych, ubogich użytkowników — lecz przez „konsumentów” — turystów. I jeśli na tej samej podstawie wzrosną możliwości zarobkowe mieszkańców zabytkowych miast.

Może i warto nad tym pomyśleć. Może — przy odpowiednio trzeźwym i energicznym zajęciu się sprawą wzmocnienia międzynarodowego ruchu turystycznego — słońce uwieźle w światłocieniowych kontrastach białych sławkowskich kolumn podpierających nawisłe gontowe okapy mogłoby rzeczywiście „zarobić” na ich utrzymanie?

Problem wybiega poza Sławków. I chyba warto zbadać tę sprawę.

TAD. ŻYCHIEWICZ



ŚWIATŁA KRAKOWSKICH ULIC

(w stulecie krakowskiej gazowni)

J U L I U S Z D E M E L

NIEZBYT wygodnie i nie zawsze bezpiecznie było przemierzać przed stu laty nocą ulice Krakowa. Dobrze jeszcze, gdy przy pięknej pogodzie „księżyc świecił, wyręczając te biedaczki latarnie nasze, co jakby w przeczuciu, już już nadchodzącego zgonu łypią światelkiem tak mdlawo-smętnym, że przy nich nic nie widać” — jak czytamy w opisie nocnej wędrówki Józefa Mączyńskiego po rynku krakowskim w połowie r. 1857. Ale w pochmurne, bezksiężycowe noce miasto pogrążało się w zupełnych niemal ciemnościach, z rzadka tylko rozświetlonych nikłym płomykiem lampy olejnej. A przecież i ten, dosyć smutny stan oświetlenia Krakowa był wyraźnym postępem w porównaniu z wiekiem XVIII. Austriacy w czasie swych pierwszych rządów w Krakowie (1796—1809) nakazali umieszczenie lamp przed domami, na koszt właścicieli kamienic, a następnie stopniowo zaprowadzili oświetlenie — dosyć co prawda skąpe — ulic i placów publicznych, kosztem gminy miejskiej. W czasach Wolnego Miasta (1815—1846) system oświetlenia lampami olejnymi, przy użyciu oleju rzepakowego, nie uległ zmianie. Próbowano jedynie pewnych ulepszeń przez wprowadzenie nowych typów lamp: „rewerberowych”, później „arganckich”, w miejsce dawnych „kagankowych”, „baniastych”. Rezultaty jak już wspomniano, nie były wcale świetne. Lampy, pomimo umieszczenia ich na drewnianych słupach (które w okresie Wolnego Miasta malowano w ukośne pasy biało-niebieskie), były stale narażone na zamachy ze

strony ówczesnych chuliganów, a władze co jakiś czas musiały ogłaszać w prasie „przypomnienie kary na rozpustnych ludzi, którzy latarnie umyślnie tłuką”.

Pod koniec istnienia Wolnego Miasta, w r. 1844, pojawia się projekt zaprowadzenia w Krakowie oświetlenia gazowego, rozpowszechniającego się podówczas w krajach zachodniej Europy. Pomysły te wznowiono w latach 1847 i 1848, lecz i tym razem bezskutecznie, gdyż nie znaleziono sposobu uzyskania niezbędnych do tego kapitałów. W kilka lat później (1855) magistrat krakowski rozpoczął rokowania z wiedeńskim „Stowarzyszeniem do Oświetlania Gazem”, przystępującym właśnie do zaprowadzenia tego rodzaju oświetlenia w kilkunastu miastach Czech i Węgier. Towarzystwo żądało, aby krakowianie zakupili akcje przedsiębiorstwa na sumę 150—200 tysięcy złotych reńskich. Wydano już nawet ogłoszenia o rozpoczęciu subskrypcji za pośrednictwem magistratu i miejscowych bankierów. Z nieznanых bliżej przyczyn cała ta akcja rozwiązała się wkrótce zupełnie. Tymczasem inne miasta polskie — Warszawa i Lwów — zawarły układy o zaprowadzenia oświetlenia gazowego z „Niemieckim Kontynentalnym Towarzystwem Gazowym w Dessau”. Kraków poszedł wówczas za ich przykładem i w dniu 16 kwietnia 1856 r. magistrat krakowski zawarł kontrakt z przedstawicielem wspomnianego towarzystwa, J. v. Unruh. Towarzystwo zobowiązywało się do oświetlenia gazem ulic i placów śródmieścia Krakowa,

głównych alei Plant, ul. Stradom; na Kazimierzu placu Wolnica, ul. Szerokiej i Wielickiej aż po most podgórski; ponadto na Wesołej dróg prowadzących do dworca kolejowego i do kliniki. Pozostałą część przedmieść towarzystwo miało nadal oświetlać lampami olejnymi. Część latarni miała być czynna przez całą noc, część tylko do północy. Określono ściśle obowiązującą moc światła, a magistratowi przyznano prawo do kontroli w tym zakresie. Do układu dołączono szczegółowy kalendarz oświetlenia poszczególnych ulic oraz cennik gazu. Przewidziano także, iż w wypadku wynalezienia w okresie ważności umowy tańszego środka oświetleniowego, towarzystwo albo zastosuje ten wynalazek w Krakowie, albo też odpowiednio obniży cenę gazu. Władze miejskie gwarantowały, że do czasu wygaśnięcia kontraktu nie uruchomią gazowni miejskiej ani też nie dopuszczą innej konkurencji. Układ obowiązywał na 25 lat, po czym miasto mogło wykupić zakład za cenę równą przeciętnemu dochodowi za 16 lat. Po 40 latach gazownia stawała się własnością gminy bezpłatnie.

W układzie z towarzystwem dessau-skim (bo tak je potocznie nazywano) przewidziano uruchomienie gazowni w dniu 1 listopada 1857 r. Ale realizacja umowy posuwała się od początku w bardzo wolnym tempie. Rok 1856 był właściwie stracony, przede wszystkim z powodu trudności w wyszukaniu odpowiedniego miejsca na budowę gazowni. Znalaziono je w końcu na Kazimierzu, nad brzegiem Wisły „na grun-

tach Riedmüllerów”, które towarzystwo zakupiło. Tu z wiosną r. 1857 zbudowano kotłownię i basen gazometru. Pracami kierował inż. Sezig. Rury gazowe sprowadzono z Anglii. Założenie ich przypadło dopiero na miesiące letnie 1857 r. W lipcu gazociąg dotarł już do ul. Grodzkiej i Rynku. Dlatego to J. Mączyński, w przytoczonym opisie nocnego spaceru po śródmieściu Krakowa, mówi o „prieczuciu zgonu” krakowskich lamp olejnych. W drugiej połowie roku tempo robót znowu bardzo osłabło. Pojawiły się pierwsze wątpliwości co do tego, czy towarzystwo dotrzyma zawarowanego kontraktem terminu. Po szeregu notatek prasowych na ten temat, zamieszczonych w miejscowym dzienniku *Czas*, dyrekcja gazowni odpowiedziała wprawdzie zapewnieniem, że światło gazowe zablyśnie w Krakowie „w każdym bądź razie w terminie przewidzianym kontraktem”, jednak w miarę zbliżania się jesieni rósł wśród mieszkańców miasta coraz silniejszy sceptycyzm, który w końcu okazał się najzupełniej uzasadniony. W istocie bowiem dawno już minął 1 listopada, a chodniki pozostały nadal rozkopane, gazociąg nie ukończony, gazownia nie uruchomiona. Dopiero z końcem grudnia zabrano się znów gorączkowo do pracy. Na całej przewidzianej kontraktem przestrzeni stanęły 442 latarnie gazowe, a w czterech rogach Rynku wielkie kandelabry, po 5 lamp każdy. Gromady ciekawych śledziły przebieg prac przy zakładaniu instalacji, komentując na swój sposób techniczne zasady ich funkcjonowania. Olbrzymi tłum wyległ

na Rynek, gdy na koniec wieczorem w dniu 22 grudnia, 1857 r. latarnie gazowe zabłyśły na ulicach i placach Krakowa, w rok po Warszawie.

W ciągu roku następnego (1858) trwała intensywna rozbudowa sieci gazociągu. Doprowadzono gaz do budynków teatru i dworca kolejowego, do wielu domów prywatnych, zaczęto oświetlać nim wystawy sklepowe. W kilka lat później (1864) po przeprowadzeniu gazociągu przez most na Wiśle, gazownia krakowska zaczęła obsługiwać także i Podgórze. W prasie pojawiły się ogłoszenia o sprzedaży z gazowni koks, dotąd mało znanego w Krakowie. Gazownia rozporządzała również nowoczesnym wodociągiem do swego wyłącznie użytku, jednym z pierwszych w Krakowie.

Radość z powodu zaprowadzenia w mieście nowego oświetlenia była niestety bardzo krótkotrwała. Niedotrzymanie listopadowego terminu okazało się złowieszczą zapowiedzią nie wywiązania się towarzystwa dessauskiego w przyszłości także i z innych warunków umowy. Gaz był bardzo drogi a bardzo słaby. Kontrakt zastrzegł, że „Latarnie i kandelabry winny świecić płomieniem gazowym, kształt nietoperza mającym, który w jednej godzinie 5 stóp sześciennych dobrze oczyszczonego gazu konsumować powinien. Płomienie pierwszej klasy winny świecić stale światłem, odpowiadającym jasności 12 świec woskowych, drugiej klasy zaś, konsumując 4 stopy sześciennie na godzinę, mają świecić światłem odpowiadającym jasności 9 do 10 świec woskowych“. Rzeczywistość przedstawiała się jednak znacznie gorzej. Późniejsze kontrole stwierdziły, że latarnie zużywały zaledwie po 3,2 stopy sześciennego gazu. Nic też dziwnego, że przy takich oszczędnościach zapobiegliwego przedsiębiorstwa, płomienie były słabe, migotliwe, a skutkiem złego oczyszczania gazu świeciły różnokolorowo. Kilkakrotnie nastąpiła przerwa w dopływie gazu, jedna z nich trwała cztery dni. Rury, założone niedbale i w spóźnionej porze roku zamarzały, albo też pękały od wstrząsów. „Śmiechu godne to oświetlenie gazowe“ — pokpiwano sobie w „Czasie“, dodając złośliwie, iż „obok ciemności dotknęła nas i ciemnota, że płacimy za złą obsługę“.

Opinia publiczna miasta już w kilka miesięcy po uruchomieniu gazowni zaczęła domagać się interwencji władz miejskich, jako upoważnionych kontraktem do sprawowania kontroli nad jego wykonaniem. Pierwszą komisję powołano w lutym r. 1858 dla zbadania czy gaz jest należycie oczyszczany i czy gazomierze działają prawidłowo. Wyników dochodzeń nie podano jednak do publicznej wiadomości. Jesienią tego samego roku wyznaczono już drugą komisję, tym razem celem przekonania się czy gaz był przyczyną usychania drzew w kilku miejscach na Plantach. Stwierdziła ona co prawda, że zasadniczym powodem było podłoże z gruzu, nieodpowiednie dla roślin, znalazła jednak również i uszkodzenia rur gazowych, które towarzystwo czym prędzej naprawiło. Przy ogólnie nieprzychylnym nastawieniu miejscowego społeczeństwa do aroganckiej spółki obcokrajowych kapitalistów, wiele nieszczęść w mieście zaczęło tłumaczyć fatalnym wpływem gazu — np. pożar w sklepie znanego wówczas kupca Hahna (1858). Inna rzecz, że olbrzymi wybuch i spustoszenie spowodowane przez gaz w pałacu Auersperga w Pradze w r. 1862, podany do wiadomości publicznej także i przez prasę krakowską, wywołał tu jak najgorsze wrażenie i podsycał podobne nastroje i opinie.

Pod naciskiem nieustannych krytyk, skarg, nawet złorzeczeń, towarzystwo poczuło się zmuszone pójść na pewne ustępstwa. Tak więc wkrótce obniżono cenę gazu dla prywatnych konsumentów z 6 na 5 złotych za 1000 stóp sześciennych. Zapewniano przy tym krakowian, że zakład jest prawdziwym dobrodziejstwem dla miasta, że działa niemal jako instytucja dobroczynna, gdyż nie przynosi żadnych dochodów. Każdy wie-dział, że było to wierutne kłamstwo, a akcjonariusze przedsiębiorstwa mogli być najzupełniej spokojni o swoje co najmniej 6% dywidendy. A że opinie takie usiłowano szerzyć za pośrednictwem niecierpianej przez społeczeństwo ówczesnego Krakowa pół-urzędowej niemieckiej „Krakauer Zeitung“ o silnym początkowo germanizatorskim nastawieniu, więc też tym bardziej próby te były z góry skazane na niepowodzenie.

Jakkolwiek skargi na wygórowaną cenę gazu umilkły na pewien czas, nie

przestano uważać się na jego bardzo niską jakość. Nową burzę rozpętało wykrycie w r. 1866 przez piekarza W. Ilminga nadużyć, jakich dopuszczał się jeden z urzędników gazowni, fałszując rachunki za gaz. Dyrekcja zakładu krakowskiego, na czele której stał inż. K. Voss, zapewniała, że poszkodowane było jedynie towarzystwo, a nie publiczność. Nie bardzo jednak w to wierzone, przeciwnie, szerzyły się pogłoski, że dyrekcja dąży do zatuszowania afery i że przez umyślną zwłokę umożliwiła oszustowi opuszczenie na czas Krakowa. Trudno dziś osądzić ile było słusności w tych podejrzeniach. Lecz na tle takich wzajemnych stosunków pomiędzy towarzystwem dessauskim a społeczeństwem krakowskim nie było niespodzianką, że wniosek Szlachtowskiego z tegoż roku, wniesiony pod obrady nowo obranej rady miejskiej, aby „znaglić tutejsze towarzystwo gazowe do należytego wypełnienia kontraktu względem miasta“, znalazł bardzo życzliwe przyjęcie.

Pod koniec r. 1866 krakowski *Czas* zamieścił intrygującą wiadomość o wynalezieniu nowego materiału oświetleniowego przez asystenta chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego, Bogdana Hoffa. Miał to być płyn tańszy od nafty, palący się jasnym płomieniem jak czysty gaz („nie krakowski, który odznacza się żółto-brudnym światłem“). Głuche milczenie około dalszych losów tego wynalazku świadczyłoby o tym, że albo nie wytrzymał on próby praktycznego zastosowania, albo też był to zwyczajny bluff być może stanowiący jakieś zamaskowane posunięcie we wspomnianej rozgrywce z towarzystwem dessauskim.

Tak zwana popularnie, „sprawa gazowa“ nie raz jeszcze miała zajmować i oburzać krakowian. Nigdy też towarzystwu dessauskiemu nie udało się zaskarbić sobie sympatii mieszkańców miasta, o których zresztą — prawdę mówiąc — niewiele dbało, starając się przede wszystkim o wyciągnięcie, póki czas, jak największych zysków. Gdy minął 25-letni termin umowy, zarząd miejski odmówił przedłużenia układu, a party solidarnym strajkiem prywatnych konsumentów zmusił towarzystwo dessauskie do odsprzedania miastu zakładu za umiarkowaną wobec żądanej począt-

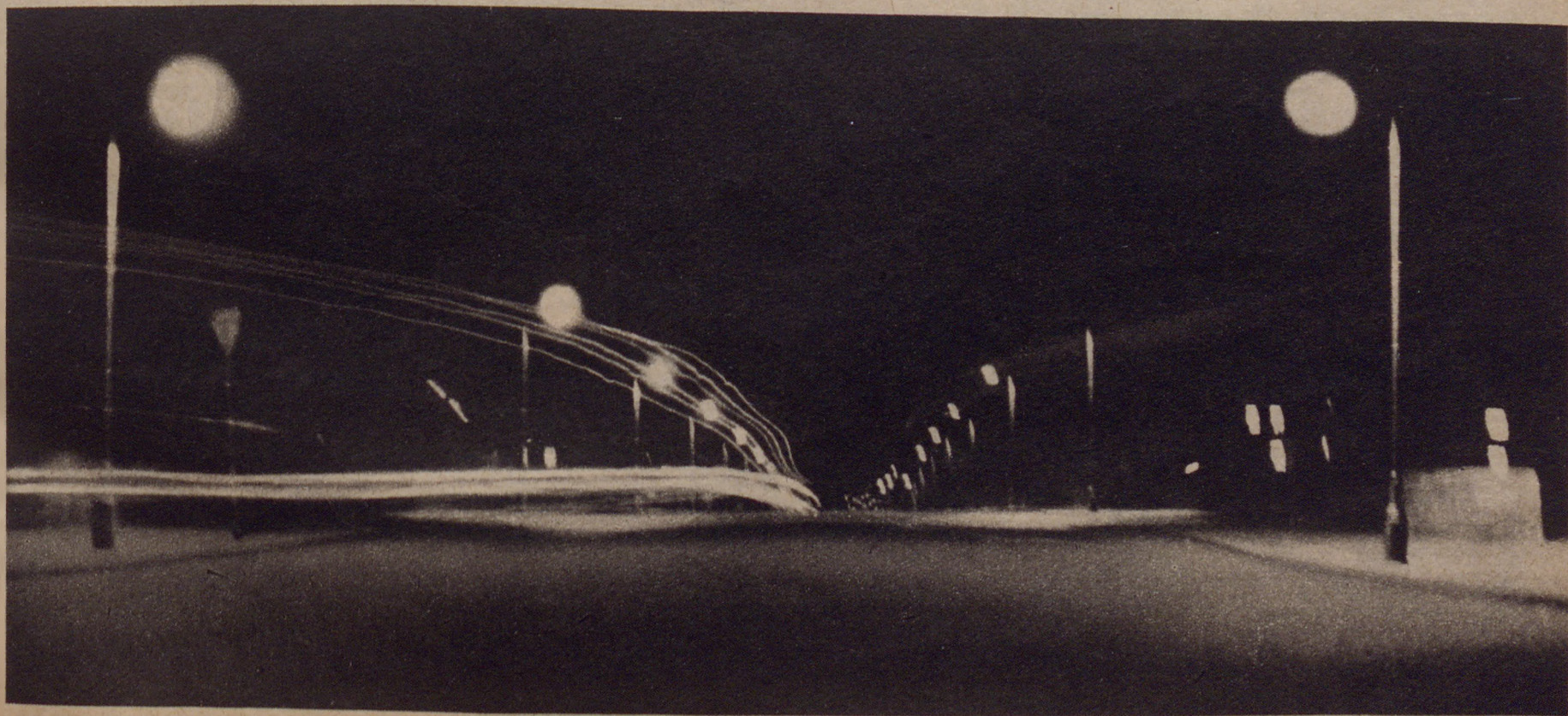
kowo sumy 1 miliona, cenę 460 tysięcy złotych. W r. 1886 krakowska gazownia przeszła pod zarząd miejski. Ani Warszawa, ani Lwów, nie zdobyły się jeszcze wtedy na takie posunięcie, chociaż Warszawa pierwsza potrafiła wymusić na towarzystwie dessauskim obniżkę ceny gazu.

Przy omawianiu warunków umowy z przedsiębiorstwem gazowym wspomniano o tym, że oświetlenie przedmieść, z wyjątkiem kilku zaledwie ulic, miały stanowić w dalszym ciągu lampy olejne. Tak też początkowo było. W tym jednak właśnie czasie zaczyna rozpowszechniać się w Galicji nowy środek oświetleniowy — nafta. Szybko zdobywa sobie ona uznanie i rynki handlowe dzięki swemu stosunkowo dobremu — jak na ówczesny stan techniki oświetleniowej — światłu a niskiej cenie. Pojawia się też coraz częściej w mieszkaniach, zwłaszcza uboższej ludności; olejne lampy przerabia się masowo na naftowe. Szereg miast galicyjskich przechodzi wkrótce na oświetlanie naftą także i ulic — w r. 1860 Tarnów, w następnym Bochnia. Za ich wzorem poszedł rychło i Kraków. W r. 1861 magistrat zawiera umowę z pionierem polskiego przemysłu naftowego, Ignacym Łukasiewiczem, na oświetlenie naftą przedmieść Krakowa. Zmiana oświetlenia miała być przeprowadzana stopniowo, w miarę przerabiania ulicznych lamp olejnych na naftowe. W tym samym jeszcze roku latarnie naftowe otrzymał Kleparz, częściowo Piasek i Wesola, a w samym śródmieściu — Sukiennice.

W latach sześćdziesiątych Kraków zaznajamia się bliżej z oświetleniem elektrycznym. O ile jednak dwa wspomniane poprzednio rodzaje oświetlenia — gaz i nafta — znalazły szerokie praktyczne zastosowanie, to światło elektryczne jest wtedy jeszcze gościem niezmiernie rzadkim, niestałym, pojawiającym się jedynie w dniach wielkich uroczystości dla ich uświetnienia i równie szybko znikającym. W roku 1855 na premierze opery Meyerbeera *Prorok* zabłyśło w krakowskim teatrze „słońce elektryczne“, w trzy lata później zaświecono lampę elektryczną w jednym z okien pałacu Wielopolskich, w dniu urodzin austriackiego następcy tronu.

JULIUSZ DEMEL

D. Walknowski





NA ZDJĘCIACH:

widzicie (od lewej u góry): biwak na Ornak; na tej łące właśnie Hiszpanie pokazywali cały przebieg corridy. Dalej: wspinaczka w jaskini i pokonywanie podziemnego jeziora przy pomocy nadywanej łodzi. Kronika filmowa nakręcała sceny jaskiniowe przy świetle magnezjowych pochodni. Drugi rząd zdjęć: Jose Luis i Potonio jako torreadorzy. Przed wyruszeniem do jaskini goście posilają się owocami. Austriacy Seiser i Franke robili w polskich jaskiniach wiele kolorowych zdjęć. Przygotowują oni ostatnio wydawnictwo albumowe pt. *Jaskinie Świata*. Wieczorami płonęło w obozie ognisko, śpiewano przy nim piosenki w różnych językach.



Suzanne de Block
(BELGIA)



Juan Antonio Bonilla Serrano
(HISZPANIA)



Gunnar Rasmusson
(SZWECJA)



Arpad Csekő
(WĘGRY)



Iose Luis de Uribarri Angulo
(HISZPANIA)



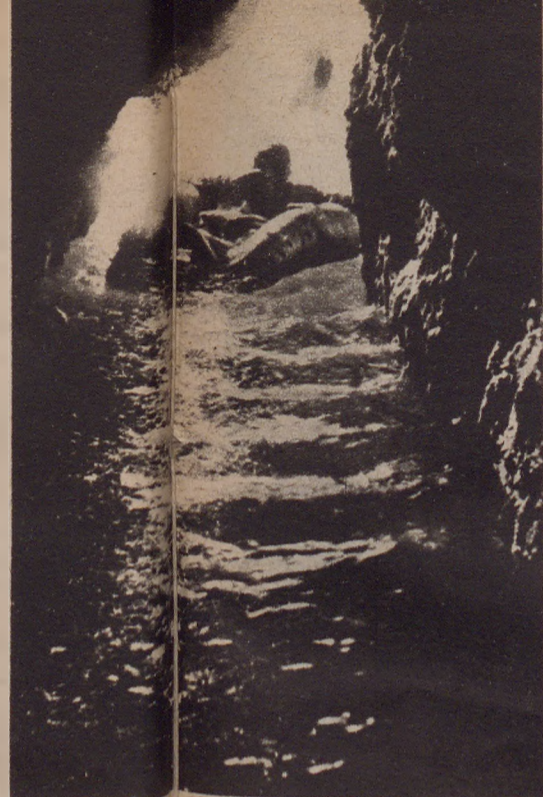
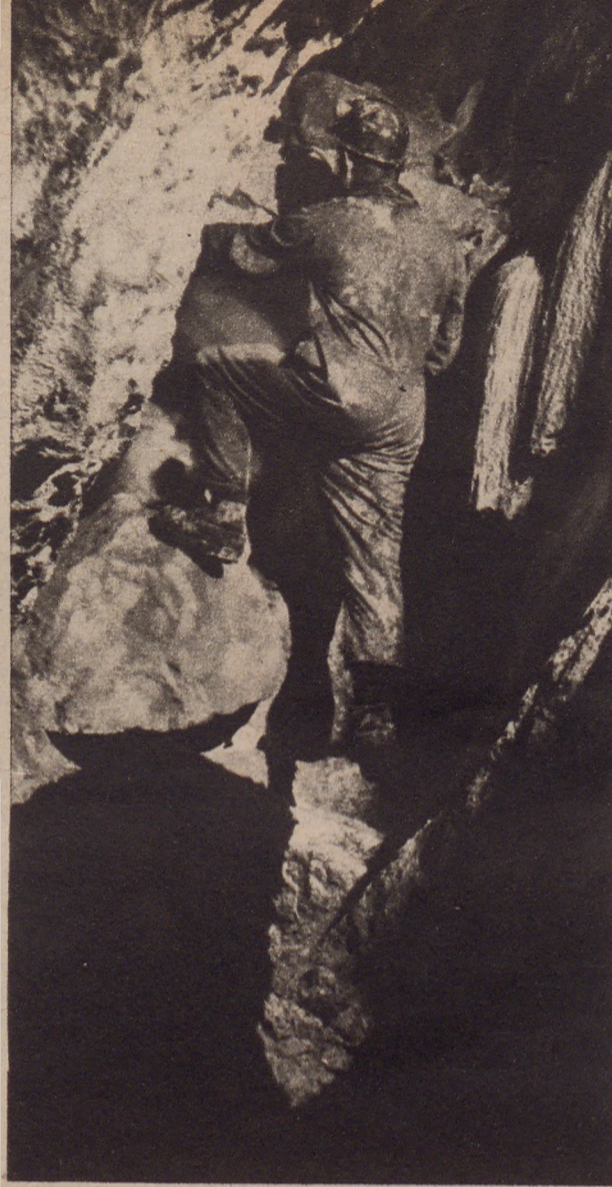
Vincente Sizilia
(HISZPANIA)



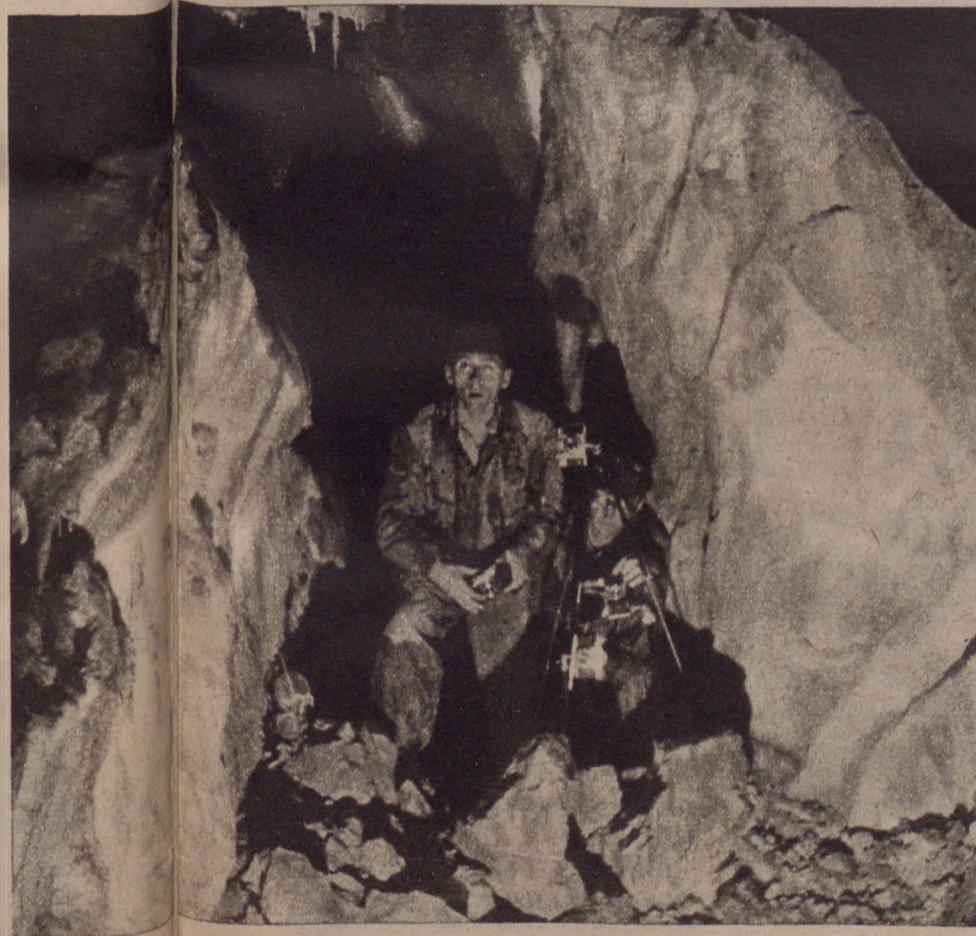
Karoly Bertalan
(WĘGRY)



Guy de Block
(BELGIA)



ZDJĘCIA:
RYSZARD GRADZIŃSKI
BOLESŁAW OLEJARZ
WESŁAW TOMASZKIEWICZ



**INTERNATIONAL
SPELEOLOGICAL
C A M P
CRACOW 1957**



BIBLIOTEKA
W GDANSKU

INTERNATIONAL SPELEOLOGICAL CAMP

Na czele otwierającego *corridé* *paseo* kroczą torreadorzy owinięci w ciężkie kapy. Za nimi młodzieńcy z *cuadrilli*, dalej *pikadorzy* na koniach. Jose Luis i Potonio na łące koło schroniska Ornak ilustrują opowiadanie o walce byków demonstracją pochodu. Pneumatyczne materace mają w tym wypadku zastąpić haftowane kapy torreadorów. Obaj ci młodzi ludzie i trzeci ich rodak Vincente są pierwszymi turystami jacy po wojnie przyjechali do Polski z Hiszpanii.

Na kościół Mariacki w Krakowie ledwie rzucili okiem. Nic nie obchodziło ich zbioru Muzeum Historycznego, o Etnograficznym nawet nie chcieli słuchać. Interesowały ich polskie jaskinie. Właśnie dlatego aby móc je zwiedzić przyjechali do Krakowa na pierwszy Międzynarodowy Zlot Alpinistów Podziemnych i Speleologów. Przywieźli ze sobą hełmy, lampy karbidowe, kombinezony wytarte w pirenejskich grotach i inne elementy niezbędnego ekwipunku. Jednocześnie przybyli uczestnicy z Austrii, Belgii, NRF, Szwecji, Węgier.

Alpinizm podziemny?

Podobnie jak odkrywcy poznawanie wysokich gór (pierwotnie dziedzina działalności geografów) wytworzyło z czasem grupy wyspecjalizowanych sportowców, nazwanych alpinistami, tak odkrywcy zwiedzanie jaskiń wywołało powstanie nowego sportu — alpinizmu podziemnego, w Polsce nazywanego taternictwem jaskiniowym. Zasady ideologiczne i techniczne obu sportów są podobne. Między innymi chodzi nie o zdobycie jaskini za wszelką cenę, lecz o przejście jej czystą metodą taternicką, w atmosferze koleżeństwa, lojalności wobec zespołu itp... Nie każde więc badanie jaskiń jest podziemnym alpinizmem. Taterników jaskiniowych nazywa się u nas często „grotołazami“, choć nazwa ta rozciąga się także i na turystów zwiedzających łatwe jaskinie i na zawodowych pracowników jaskiniowej turystyki.

Co to jest speleologia?

Jaskinia to jakby mały świat różniący się od „powierzchniowego“ jako środowisko geograficzne i biologiczne. Ciemno, mokro, w lecie zimno, w zimie ciepło, specyficzne formy roślinne, okazy fauny, gdzie indziej nie spotykanej. Jaskiniami interesują się różne nauki: geologia, botanika, zoologia, paleontologia archeologia... Ale badania w jaskiniach to dla każdej z tych nauk tylko wycinek ich zakresu. Natomiast połączenie tych wycinków w jedną całość wiedzy o jaskiniach to właśnie speleologia.

W Polsce speleologia jako samodziśna dyscyplina nie istnieje w zasadzie chociaż... ale o tym później. Oprócz właściwych, zawodowych speleologów-naukowców na całym świecie z pasją zajmuje się speleologią wielu amatorów. Określenia „alpinista podziemny“ czy „grotołaz“ nie należy więc utożsamiać z mianem „speleolog“. Natomiast speleologowie często bywają jednocześnie grotołazami. Bez umiejętności sportowych wysokiej klasy nie dostaliby się bowiem do wnętrza trudnych jaskiń.

Dlaczego w Polsce?

Najgłębsza jaskinia na świecie, Gouffre Berger koło Grenoble ma dno położone na głębokości 1130 m (osiągnięte w r. 1956 przy udziale Polaka, K. Kowalskiego z Krakowa). Wiele innych jaskiń w Pirenejach czy Alpach słynie z kilkusetmetrowych przepaści. Skromnie przedstawia się w zestawieniu z nimi nasza najgłębsza jaskinia, tatrzańska Miętusia ze swoimi 200 metrami głębokości. Pod względem rozległości jaskiń też nie możemy imponować cu-

dzoziemcom. Największa jaskinia w Polsce ma 3 kilometry długości (Zimna w Tatrach) podczas gdy największa w Europie przekracza 65 kilometrów, a największa na świecie Mammoth Cave w Stanach Zjednoczonych ma podobno 100 kilometrów.

Jednak trudności jaskiń nie możemy mierzyć długością. Na krótkiej przestrzeni może tam istnieć takie nagromadzenie różnych przeszkód (strome progi, ciasne przełazy, jeziora i potoki), że najwprawniejsi grotołazi muszą wiele dni strawić na ich pokonywaniu. Tak było w Zimnej gdy w r. 1953 członkowie Klubu Grotołazów z Krakowa spędzili pod ziemią 103 godziny bez przerwy.

Jakkolwiek by nie było, Polska nie posiadając ani największych, ani najgłębszych jaskiń ma grotołazów należących do światowej czołówki. Podobnie jak Anglia nie mając w ogóle gór wysokich posiada kluby alpinistyczne o światowym poziomie. Nic więc dziwnego że swój udział w zlocie zgłosiło tylu delegatów organizacji speleologicznych i alpinistyczno-jaskiniowych. W Polsce grotołazi są popularni ale prawdziwą ich wartość ocenia niewątpliwie lepiej zagranica. U nas jeszcze ciągle to — Jezus, Maria, Grotołazy! — osobliwość nie mieszcząca się w świecie pojęć ludzi, w których życiu kamieniami milowymi są niedzielne spacerki i niedzielne schabowe kotlety.

Dlaczego w Krakowie?

Podczas kiedy alpinizm podziemny we Francji, Austrii czy Italii ma kilkadziesiąt lat tradycji, polskie taternictwo jaskiniowe dorobiło się światowej sławy w ciągu lat zaledwie siedmiu. Początek — to Klub Grotołazów, zawiązany w r. 1950 właśnie w Krakowie. Klub ten zorganizował kolejne wyprawy do najtrudniejszych jaskiń tatrzańskich, dokonując wielu odkryć. W r. 1953 powstała oficjalna organizacja przy ówczesnej Sekcji Alpinizmu PTTK. Kursy, szkolenie instruktorów i wyprawy ogólnopolskie dopomogły w założeniu innych ośrodków. Gdy w roku ubiegłym alpinizm usamodzielniał się przez reaktywowanie Klubu Wysokogórskiego, wraz z nim wydzieliło się z PTTK taternictwo jaskiniowe. Kraków nadal pozostał ośrodkiem dyspozycyjnym i siedzibą władz organizacji. Nazwa miasta znana jest też cudzoziemcom jako miejsce wydawania czasopisma *Grotołaz*, wymienianego za kilkadziesiąt podobnych pism na całym świecie.

Dlaczego Kowalski?

Pieniądzy na urządzenie zlotu nie dostarczyły państwowe dotacje. Wystarczyły własne, składowe fundusze organizatorów. Zresztą goście krakowskich grotołazów byli chyba „najtańszymi“ turystami zagranicznymi w Polsce. Świetnie czuli się w warunkach namiotowego biwaku. U siebie spędzają tak przecież kilka miesięcy w roku. Obóz przenoszono z miejsca na miejsce: Ojców, Wieliczka, Pieniny, Tatry Wysokie i Zachodnie. Najdłużej oczywiście biwakowano na Ornaku. Blisko jest stamtąd do wielu jaskiń.

W każdej dyskusji zagraniczni speleologowie zwracali się z wieloma pytaniami do kierownika obozu, docenta Kowalskiego. Jest on bowiem nie tylko najwybitniejszym naszym grotołazem ale i speleologiem. Jak to często bywa, zna go pod tym względem o wiele lepiej zagranica. Jego trzytomowe dzieło *Jaskinie Polski* w obcojęzycznych recenzjach stawiane jest zawsze za wzór dla innych. Poczta dostarcza Kowalskiemu publikacje speleologiczne nadsyłane przez autorów z 40 krajów.

Była i część bardziej oficjalna zlotu. W Krakowie pokazano cudzoziemcom nakręcone przez Polaków jaskiniowe filmy, oni natomiast wyświetlali kolorowe przeźroczka. Były odczyty i naukowe prelekcje. Omawiano plany wspólnej działalności. Zaproszono Polaków do wszystkich krajów, które na zlocie były reprezentowane.



MUZEUUM ZAGŁĘBIA

TEKST: L. WIECZOREK
ZDJĘCIA: A. SKRZYDLEWSKA

STOP! Stalowe ramie dźwigu zawisło wysoko w powietrzu. Kierownik piaskowni kopalnianej w Siemoni wdrapał się do olbrzymiej łyżki i zaczął ostrożnie przeszukiwać piasek. Wynikiem tych poszukiwań było kilka glinianych urn, które koparka wydobyla z ziemi. Piaskownia była dawnym cmentarzyskiem.

Taki był początek archeologicznych poszukiwań na terenie Zagłębia i jednocześnie początek zbiorów muzeum tego regionu. W wyniku przeprowadzonych badań w powiatach będzińskim i zawierciańskim, Zagłębie — dotychczas biała plama na archeologicznej mapie Polski — szybko zaczęło się pokrywać siecią stanowisk. Równocześnie podjęto odbudowę kazimierzowskiego zamku w Będzinie i tam ulokowano nowopowstałe Muzeum Regionalne Ziemi Zagłębiowskiej.

Znaczna odpowiedzialność spadła na barki kilku młodych archeologów będzińskich z Błaszczkiem, pierwszym kustoszem muzeum na czele. Trzeba było znaleźć miejsce i środki na uporządko-

wanie ogromnego materiału wykopaliskowego, urządzić muzeum i udostępnić eksponaty. Dziś Muzeum Zagłębia, najmłodsza tego rodzaju placówka w Polsce cieszy się już znaczną popularnością.

Aby dokładnie obejrzyć wszystkie eksponaty trzeba kilku godzin. Wyliczanie ich w szczupłym raporcie nie byłoby celowe. Składają się na nie zarówno znaleziska pochodzące z przedhistorycznych cmentarzysk, jak i przedmioty znalezione wśród licznych śladów osad ludzkich istniejących niegdyś w Siemoni na wybrzeżu potoku Jaworznik. Niemalą sensacją zwłaszcza wśród najmłodszych wzbudzają znalezione w czasie budowy kopalni odkrywkowej „Brzozowica“ — kości mamuta. Oddzielny dział stanowią wykopaliska pochodzące z terenu samego będzińskiego zamku. Pochodzą one w znacznej większości z XII wieku. Wśród nich na specjalną uwagę zasługuje zbiór srebrnych monet — groszy praskich z podobizną Wacława II czeskiego.

Kierownictwo muzeum szczyty się



tym, że w czasie Międzynarodowego Tygodnia Muzealnictwa w roku 1956 dr. H. Riviera, dyrektor UNESCO napisał w muzealnej księdze pamiątkowej: *Urządzenie Muzeum w Będzinie, rozkład eksponatów i objaśnienia mogą być wzorem dla wielu podobnych pla-*

cówek całego świata. O tym że słowa cudzoziemskiego gościa nie są tylko czczą uprzejmością najlepiej chyba świadczy fakt, że w ciągu niespełna roku istnienia przez sale muzeum przewinęło się już około 30 tysięcy zwiedzających.

Odbudowany zamek w Będzinie — przedstawia się z pewnej odległości okazale i malowniczo. Jednakże przeprowadzone dotychczas prace rekonstrukcyjne budzą wiele zastrzeżeń zarówno wśród historyków sztuki, jak też konserwatorów i architektów. Jak się okazało, przed rozpoczęciem prac nie została opracowana odpowiednia dokumentacja naukowa. W rezultacie odbudowa zamku w wielu szczegółach nie jest zgodna z danymi historycznymi i materiałem ikonograficznym. Na przykład w sposób zupełnie dowolny zrekonstruowano blanki strzelnicze, niszcząc przy tym niektóre oryginalne partie murów. Również niewłaściwie ustosunkowano się do fragmentów budowli, pochodzących z okresu historycznej już przebudowy, dokonanej przez architekta Lanciego, zmieniając je lub usuwając mimo że posiadają one już wartość zabytkową. Wiele wątpliwości nasuwa również sposób przeprowadzenia prac, jak np. wylanie korony murów cementem, dziwaczny sposób krycia dachów gontem, wreszcie brzydka, nie nawiązująca zupełnie do zabytkowego charakteru obiektu stolarka. Oczywiście można powiedzieć, że odbudowa zamku w Będzinie jest pozytywnym osiągnięciem, ale rekonstrukcja na pewno nie została szczęśliwie przeprowadzona.

Z lewej u góry: Baszta zamku w Będzinie. U dołu: odbudowany zamek, w którym mieści się muzeum. U góry: naczynia gliniane, znalezione na przedhistorycznym cmentarzu



Powyżej: rzeźbiona w kości rękojeść noża lub mieczyka, znalezione w ruinach będzińskiego zamku

W numerze 6 „Ziemi” z roku bieżącego na ostatniej stronie ukazała się notatka o glazie narzutowym w okolicy Gołuchowa. Przy tej okazji wspomina się, iż największy glaz narzutowy w Polsce znajdujący się w Tychowie (pow. Białogard woj. koszalińskie) ma podobno 44 m obwodu.

W związku z powyższym chciałbym przesłać kilka wiadomości o tychowskim glazie, który kilka lat temu oglądałem. Znajduje się on na cmentarzu w tejże wiosce i wg dokumentacji jeszcze przedwojennej posiada obwód 50 m, wysokość nad ziemią 3 m i 4 m pod ziemią. Ogólne obliczenia wykazują, iż kubatura jego wynosi około 700 m³. Materiały z okresu międzywojennego podają również, iż glaz ten w dwu miejscach wydaje głuchy dźwięk, który może wskazywać na jamy jakie znajdują się wewnątrz kamienia.

Kamień tychowski jest naturalnie otoczony licznymi legendami. Najstarsze z nich mówią, iż w pogańskich czasach był on miejscem, na którym słowiańscy kapłani składali ofiary w koniach trójlicemu Trzygłowowi. Chłopi natomiast podziwiając kamień stwierdzają, iż jest on tak wielki, że mógłby na nim stanąć wóz zaprzęzony w 4 konie i zawrócić.

Fotografii kamienia niestety nie posiadam.

Czesław Piskorski
Szczecin

SCHRONISKA

W bieżącym sezonie czynne były następujące nowe schroniska i stacje turystyczne:

Stacja turystyczna w Osielcu (300 m od stacji kolejowej w domu p. Zaręby) 10 miejsc noclegowych na łóżkach z pościelą.

St. turyst. w Hucisku (przy stacji kol. w domu p. Gąsiorkowej) 12 miejsc noclegowych w pokojach 4-osobowych. Łóżka z pościelą.

Stacja turystyczna na Turbaczu w Gorcach, w bacówce Instytutu Zootechniki na Wolicy, pod szczytem Turbacza. 30 miejsc.

Stacja turystyczna w Kamesznicy, pow. Żywiec. 25 miejsc noclegowych, możliwość korzystania z kuchni, na miejscu sklep Samopomocy Chłopskiej.

W Beskidzie Wyspowym na zachodnich stokach Lubogoszczy, w sąsiedztwie stawku Żabie Oko — szkolne schronisko wycieczkowe. Nocleg 10 zł, zgłoszenia: Jan Jaszczuk, p. Kasinka Mała, Lubogoszcz.

W Bieszczadach — nowe schronisko w Komańczy (na linii kolejowej Zagórz-Łupków) Z posiłków można korzystać w pensjonacie SS Niepokalanek.

Czynna w ubiegłym roku stacja turystyczna w Cisnej została w r. b. likwidowana.





POŻAR WE FRYDMANIE

Okoliczne wsie obiegła alarmująca wiadomość: Frydman się pali. Pożar wybuchł nagle w centrum wsi w południe dnia 5 lipca.

Przy bezchmurnej, upalnej pogodzie rozszerzał się błyskawicznie, obejmując coraz to nowe, gęsto zgrupowane zabudowania. Szybkość ognia była tak wielka, że z budynków najprędzej objętych pożarem prawie nic nie zdołano wynieść. Na pomoc przybyło kilkanaście grup straży pożarnej (w tym jedna ze strony słowackiej), rozporządzając łącznie około trzydziestoma motopompami. Po kilku godzinach ogień ostatecznie zlokalizowano. Ogółem spłonęło dwadzieścia kilka budynków, należących do piętnastu gospodarzy. Straty materialne są duże. Szczęśliwie pożar nie przedostał się na drugą stronę ulicy, gdzie wznosi się sławny gotycki kościół z renesansową attyką na wieży, stanowiący wraz z dzwonnica i dwoma bramkami o pięknych gontowych hełmach szczególnie cenny zespół zabytkowy. Opaleniu od żaru uległy tylko drzewa, otaczające kościół od strony południowej.

Spalone budynki mieszkalne sta-

nowiły pewną osobliwość. Były to pierwotnie czworaki, należące niegdyś do dworu (obronnego kasztelu Horwathów z Palocsy, wzniesionego w wieku XVI). Czworaki te, usytuowane szczytem do ulicy, przedstawiały się mimo przebudów malowniczo, ze swymi wysokimi, charakterystycznymi dachami gontowymi. Poszczególne budynki mieściły pod wspólnym dachem cztery mieszkania (były to więc czworaki w pełnym tego słowa znaczeniu) i nawet ostatnio należały do czterech właścicieli. W głąb działek sięgała zwarta i chaotyczna zabudowa gospodarcza.

Dawne czworaki nie zostaną już odbudowane. Stan techniczny ocalałych murów jest zły, zresztą warunki sanitarne ludności mieszkającej w nich były ciężkie. Dlatego odbudowa, przeprowadzana pod nadzorem władz architektonicznych ma podwójne zadanie: uchronić od zniekształcenia zabytkowy układ wsi (Frydman jest miejscowością o zachowanym zabytkowym założeniu urbanistycznym) i stworzyć odpowiednie warunki jej mieszkańcom.

(M. K.)



WIT STWOSZ MŁODSZY?

„W roku 1569, w dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej, zmarł Wit Stwosz Młodszy, któremu Bóg niech będzie łaskaw, Amen“ — głosi niemiecki napis na niezwykle interesującej kamiennej płycie, wprawionej w zewnętrzną ścianę kościoła parafialnego w Ząbkowicach Śląskich.

Czy zmarły był wnukiem wielkiego Mistrza z Krakowa? Nie wiadomo. Jednak sztuka krakowskiego rzeźbiarza silnie oddziaływała na snycerstwo śląskie, a pobyt Wita Stwosza we Wrocławiu w r. 1485 jest faktem stwierdzonym. Na Śląsku również przebywał i tworzył jeden z jego synów, niedaleki zaś od Ząbkowic obronny zamek w Witosławicach, zachowany do dzisiaj, przez pewien czas należał do tej rodziny.



Interesujące nas ząbkowickie epitafium, przedstawiające Dzieciątko Jezus i niewielką klęczącą postać zmarłego oraz kartusz z jego gmerkiem — posiada dużą wartość artystyczną i jest charakterystycznym przykładem śląskiej kamiennej plastyki nagrobnej późnego renesansu. Analogiczna płyta o podobnym układzie kompozycji znajdowała się w kościele w Złotym Stoku.

(M. K.)



LEWĄ RĘKĄ

Ciekawa jest ilustracja na str. 24 lipcowego numeru *Ziemi*: oficer salutuje lewą ręką. Nie jest to wynik reprodukcji fotograficznej (jak np. na obwolucie *Napoleona* Tarlé, wydanego kilka lat temu przez „Książkę i Wiedzę“, gdzie wszyscy mają szabły po prawej stronie), lecz — błąd rysownika (bo szpada oficera jest na swoim miejscu — po lewej stronie).

Zygmunt Brocki
(Gdańsk)

OPIESZAŁOŚĆ

W numerze kwietniowym *Ziemi* z b. r. ukazała się notatka p. J. G. pt. „Jeszcze o znakach“, zawierająca pewne wyniki dociekań ks. Stan. Skurczyńskiego, kieleckiego archeologa, zebrane w jego artykule „Archeolog na probostwie“, wydrukowane w mało dostępnym *Pamiętniku Kieleckim*, który został wycofany z handlu wkrótce po jego ukazaniu się. Prostuje nieściśność tej notatki jako redaktor wydawnictwa *Pamiętnik Kielecki* 1947. Wydawnictwo wycofano wprawdzie z obiegu księgarskiego

na czas jakiś, ale dawno już zakaz sprzedawania *Pamiętnika* jest zniesiony.

Myślę, że źródło nieściśności informacji p. J. G. kryje się w dziwnej opieszałości rzeczywistego, bo prawego właściciela *Pamiętnika Kieleckiego*, to jest Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach, które nie potrafiło dotychczas rozkolportować tego wydawnictwa, trzymanego w muzeum na składzie od lat całego szeregu. Prof. Dr Juliusz Nowak-Dłużewski

OJ, BADACZE, BADACZE...

Czy krajoznawstwo jest sportem? W oczach Biura Wydawniczego „Ruch“ i Zakładu Badań Prasoznawczych RSW „Prasa“, które w maju br. wydały Katalog prasy polskiej — tak! Otóż w katalogowym dziale V, zatytułowanym: Czasopisma sportowe, obok takich czasopism jak np. *Program Wścigów Konnych*, *Wiadomości Wścigowe*, *Ring Wolny*, *Piłka Nożna*, *To—to* itp. umieszczono również naszą *Ziemię*, miesięcznik

„popularyzujący wiedzę o ziemiach polskich, ich kulturę i tradycję“ — jak informuje tenże „Katalog“. W zaszeregowaniu *Ziemi* do czasopism sportowych nie przeszkodził Zakładowi Badań (!) Prasoznawczych także dalszy ciąg tej informacji, gdzie podano, że *Ziemia*, miesięcznik krajoznawczy, „zamieszcza artykuły z zakresu geografii, geologii, przyrodokrajoznawstwa, historii, archeologii itp.“

Z. B.



autor artykułu — 31-letni poeta, historyk sztuki i artysta-fotografik, prowadzi inwentaryzację zabytków sztuki na terenie całej Polski. Specjalnie interesuje się zagadnieniem tzw „geografii sztuki” tj. analizą kartograficznego rozmieszczenia poszczególnych grup zabytków



KOŚCIOŁY WIEJSKIE W DELCIE WISŁY

T A D E U S Z C H R Z A N O W S K I

Jest geografia fizyczna i gospodarcza, jest geografia historyczna i jest niewątpliwie również geografia sztuki. Oczywiście wiadomo: Egipt, Grecja i Rzym starożytny, zasięg gotyku i sztuka ludów koczowniczych Azji. Nie chodzi tu jednak o ową powszechną geograficzną sztukę, przez duże G i duże S, lecz o tę małą geograficzną, która mieści się na jednej tysiączstej powierzchni naszego globu, czyli innymi słowy: w granicach naszego kraju. Wiemy i o niej coś niecoś, intuicyjnie raczej niż na podstawie naukowej analizy, która tylko sporadycznie zajmowała się u nas charakterystyką zespołów umiejscowionych terytorialnie. Daleko więc do ostatecznego podzielenia na typy i zasięgi sakralnego budownictwa drewnianego, jeszcze gorzej z zagadnieniem np. dworów czy typów zabudowy malomiasteczkowej, a nawet chałup wiejskich owe najbardziej z danym terenem związane zabytki, nie zostały należycie opracowane.

Na tle geografii sztuki delta Wisły przedstawia się nader charakterystycznie i odrębnie. Obszar ten mieszczący się z grubsza w trójkącie między Gdańskiem, Malborkiem i Elblągiem posiada

da wyjątkowo ciekawą zabudowę wiejską. O budownictwie świeckim pisalem osobno i nieco szerzej. Na tym miejscu nieco uwagi poświęcę odrębności kościołów, a ściślej wież kościelnych. Same bowiem kościoły — typowe północne, ceglane, gotyckie budynki — w bryle prezbiterium i nawy nie wyróżniają się spośród dziesiątek innych rozsianskich wzdłuż całego Pomorza. (Zaznaczyć trzeba, że na omawianym obszarze istnieje jeszcze drugi typ — późniejszy, charakterystyczny zwłaszcza dla budownictwa ewangelickiego, a mianowicie kościół konstrukcji szachulcowej lub ryglówkowej).

Powróćmy jednak do owych gotyckich kościołów, które powstały tu w większości w ciągu XIV i w samym początku XV w. Ciekawe że pierwotnie wznoszone były — już bodaj w początku XIV w. z szachulca i dopiero w latach późniejszych przemurowane lub obmurowane (np. kościoły w Jezierzniku, Kończewicach, Mątowych Wielkich, i Gnojewie). Większość z nich posiada, bądź posiadała jeszcze w XIX wieku wieże drewniane, późniejsze, gdyż pochodzące przeważnie z w. XVII, lecz utrzymane w tradycjach gotyckich. Ze



Z lewej u góry: kryta gontem iglica wieży kościoła w Kończewicach pod Malborkiem. Fot. Tadeusz Chrzanowski

Obok: mapka Żuław ukazująca miejscowości, w których zachowały się jeszcze drewniane wieże kościelne (czarne kółka) oraz miejscowości, w których takie wieże zostały zniszczone w XIX wieku lub w 1945 roku (puste kółka). Opracował Jerzy Tukallo.



Obok: gotycka kaplica w Orłowie koło Nowego Stawu. Dziura w dachu charakterystyczna dla stanu zachowania budynku. Czy strop zdążył już przegnić? Fot. T. Chrzanowski. Poniżej: kościół w Lubieszewie, zbudowany około roku 1400. Wieża natomiast pochodzi z roku 1573. Widoczny na zdjęciu stan konserwacji zabytku wywołuje podobne pytanie jak przy zdjęciu poprzednim. Fot. Tadeusz Chrzanowski. U dołu: wieś żuławska Kończewice. Na tylnym planie widoczna drewniana wieża zabytkowego kościoła. Fot. Jerzy Tukałło



przeważnie wieże te były elementem zamierzonym w czasie budowy, świadcząc może to, iż niemal regułą jest występowanie pierwotnej, murowanej dolnej kondygnacji. Regułą jest również to, że jeśli występuje izbica, to jest ona ośmioboczna. Izbica ta umieszczona jest albo na kondygnacji pośredniej, drewnianej, słupowej o ścianach pochyłych, albo — co jednak zdarza się rzadziej — leży wprost na owej ceglanej dolnej kondygnacji (jak np. w Lubieszewie, gdzie wieża pochodzi z r. 1573, izbica natomiast z około 1400 r.). Ale głównym akcentem owych kościołów w delcie Wisły jest ośmioboczna iglica zwieńczająca wieżę, która niejednokrotnie dochodzi do znacznej wysokości i smukłości, a najpiękniejszym tego rodzaju przykładem jest bodaj kościół w Kończewicach pod Malborkiem. Do omówionego tu typu należały (stan z 1939 r.) kościoły w: Fiszewie, Borętach, Mątowych Wielkich, Kończewicach, Lisewie, Cedrach Wielkich, Steblewie, Trutnowych, Jezierniku i Lubieszewie. Odrębną, wyjątkowo interesującą pozycję stanowi kościół w Kmiecinie, gdzie wieża jest w całości drewniana i otoczona obejściem o charakterze sobót.

stoszeń. Nie umiem podać wyczerpujących danych wiem tylko, że kościół w Wocławach spalił się, w Trutnowych utracił wieżę, a inne, jak np. w Lubieszewie, Jezierniku czy niewielka kaplica w Orłowie, są zaniedbane i uszkodzone. A przecież należałoby więcej uwagi poświęcić owym zabytkom, które tak mocno wiążą się ze swoim terenem i stanowią piękny przykład umiejętności ciesielskich pomorskiego ludu.

W budownictwie polskiego Pomorza kościoły delty wiślanej tworzą nader zwartą grupę. Spokrewnione z nimi wydają się kościoły Warmii, zwłaszcza z okolic Lidzbarka i Dobrego Miasta, gdzie drewniane wieże z izbicami i iglicami występują kilkakrotnie przy gotyckich murowanych kościołach.

Niestety wojna, opuszczenie i zła wola przyczyniły się i tu do znacznych spu-



SMOKOWIE JADOWICI

Z DAWNYCH KRONIK
I INNYCH ZABYTEKÓW
PIŚMIENICTWA

W parę lat po odsieczynie wiedeńskiej, która do pewnego stopnia rozbudziła zainteresowanie „obcymi krajami” — ukazało się w jednej z polskich oficyn drukarskich dzieło pt. *Ekonomija Ziemiańska*, zawierające obok najrozmaitszych wiadomości o charakterze gospodarskim — także i anonimowy traktat „O zwierzu dzikim ziemnym, który w puszczech, borach, lasach, górach, pustyniach i osobliwym zwierzyńcu przebywa i biesiaduje”.

Urywki z owej rozprawy przedstawiamy czytelnikowi.

„Jeleń gdy się ma odmładzać i rogi zrzucić, na kilka dni przedtem węzami się pasie, których wymyślił po lasach szukając wynajduje i wedle czasu i potrzeby swojej sobie wygadza; po którym pokarmie znowu szuka ziela dyptanu kreteńskiego, albo aronowej brody, albo skolopendrium i tej trucizny per vomitum pozbywając, krynicznej wody się potem zaraz napije”.



„Niedźwiedź człowieka rozumie przez mowę, w węchu podobny do psa, do domu nie wejdzie żadnego, w którym by jakie były czary, albo zakopane gusta i nieczyste śmieci. A w pewnym miasteczku casus się zdarzył trefny i cudowny następujący: Oto obwieszono kilku złoczyńców o kradzież i rozbój, o którą tam swywołę nietrudno. Niedźwiedź potem w jasny dzień przyszedłszy pod te szubienice i jednego złoczyńcę z między nich urwawszy, śnieg (bo to się w zimie stało) odgrzebiwszy, dół wykopał i bez wszelkiego naruszenia trupa, wcale pod tą szubienicą pogrzeb mu sprawił. Co było w tem za misterium — ludzie różnie o tem rokowali, jeżeli w tem obwinionym uczynku znajdował się być niewinnym, co jest sędziom na przestrożę”.

„Salamandra ognista... która ma formę na kształt jaszczurki, tylko że nierównie większa, jest jadowita, różne kolory i pstroczyny ma na sobie, w ogniu żyje i sobą go

tlumi. W którym rodzaju niemasz samca, ani samice. W kraju gorącym przebywa, w części świata Afryki, ma też na sobie wełniane okrycie. Wody się nie chwyci i choć pobrudzona, zmyć nie może, tylko ją ogień jako pracza wypoleruje. Pan Bóg cudowne rzeczy stworzył, bo jako każdy element na świecie ma swojej natury specimen, tak i dla wizerunku obywatelów piekła albo potępionych ta bestia jest objaśnieniem”.

„Bóbr... kwili i szlocha na czas, osobliwie na nie pogodę, właśnie jako dziecko. Na ziemi nie może długo biesiadować, względem natury i nalogu swego, dla ogona rybiego, który rad miewa w wodzie częstokroć. Ten smak ma osobliwy, więc wierze chrześcijańskiej w post zażył go można, albowiem część tego ogona stanie za rybę tłustą, albo za leszcze, który jest w sobie na łokieć długi”.

Autor (a może autorzy?) traktatu piszą także o zwierzętach egzotycznych — i tu już fantazja autorska nie zna granic.

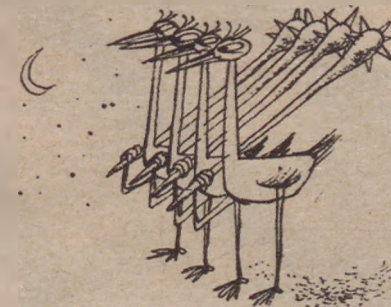
„Pardus (leopard? — u. wł.) od którego pantera ryś się wywodzi, w murzyńskiej ziemi znajduje się, postać ma wołu, wielkością i rozłożeniem rogów jako jeleń głowę podobną mający, szyję ma jako niedźwiedź i sierść takową. W tych tam krajach gdy z trudnością szukając wodę znajdują do picia i posilenia swego, zbiegają się z sobą, oraz lwice, z którymi pardus łączy się i legną się z nich rysie, mając wzory po sobie podobne pardusowi. Bywa ich trzeci rodzaj, z wielbłądźce gdy się pardus pomieniony z nią złączy i zowią się wielbłądorysie: jakoż z wielką rodzajów zwierząt zwykły się łączyć pardus”.



„Smokowie jadowici i ogromni rodzą się w Ethopiej, w części świata Afryki, którzy są okrutni, jadowici, bystrzy, śmiali i natarczywi. Mają na sobie kudły kędzierzawe, żyją ścierwem różnym. Ci smokowie sztucznie na słońców dybią i skradają się, ile na tych, które dla chłodu z natury swej przy rzecznych bawią się wodach. Sztucznie tedy ku nim przykładem naszych wilków sprawują się i wodami zwolna tedy ku nim chyłkiem zmierzają a potem, zbliżywszy się z wielkim pędem i lotem jako do szturmowania na nie uderzają, z niemym strachem ludzi na to patrzących. A tak ci smokowie aż do śmierci słonia wyszą i przemagają one swoim srogim jadem i natarczywym okrucieństwem”.



„Krokodylowie, które w Nilowych rzekach w państwie Egipskim żyją. Są krokodylowie w sobie jadowici, osobliwie we łzach, jakoby w płaczu. Gdy płacze krokodyl nad człowiekiem dostawszy go, tedy łzy wypuści na głowę, ta zaraz się na dwoje od jadu rozpadnie i mózg najprzód z niej wypije, potem człowieka całego do szczętu zje”.



„Misterne zórawie... w Brazylijej z Pigmejczykami, którzy są ludzie małego wzrostu, jak w dziesięć lat u nas dzieci, ustawnie wojują. A mają też swego hetmana, którego wielkim posłuszeństwem swoim obsługują tak dalece, że gdy tylko na którą stronę głową skinię, na tę zaraz hurmem zlatują i z niemym lotem swoim kamieniami gęsto ciskają, jako jakimi granatami. To ptastwo gdy się pasie i wczasuje, warty swoje mają, a miasto muszkietów kamień w jednej łapie trzyma dla czujności, bezpieczeństwa i oręza”.



„Strus śmiały... ma kopyta na kształt jelenich rozdwojone, a w nogach władzę takową, że niemi weźmie zręcznie i dobrze, jako rękami człowiek kamień i tak chybko nim ciśnie, toby mu się w czym przeciwiał, albo gdyby kto na niego nieprzyjaźnie następował. Którym potężnie jak w cel uderzy, jako z jakiej kusze albo proce. Żelazo trawi i pewne kamienie. Na jego gniazdo piorun nie bije”.



Rys. I. Smólski

Wyjaśniamy lojalnie, że z *Ekonomijej Ziemiańskiej*, a raczej z traktatu „O zwierzu dzikim” — wybraлиśmy złośliwie urywki humorystyczne; oprócz nich są tam także wiadomości zupełnie prawdziwe, względnie bardzo do prawdy zbliżone. Dla obrony naszych ówczesnych rodaków przed możliwym zarzutem obskurantyzmu warto też dodać, że rzecz dzieje się w tym samym wieku XVII, w którym słynny Uniwersytet Boloński zwrócił się listownie do Uniwersytetu Jagiellońskiego z prośbą o nadestanie jednego z potomków smoka wawelskiego; gdyby zaś takowy nie istniał już — Uniwersytet Boloński byłby niezmiernie wdzięczny bodaj za smocze jajo.

Poglądy zawarte w cytowanym traktacie nie są naszą specjalnością; dzieliła je cała ówczesna Europa, a traktat jest tylko kompilacją uczonych dzieł zagranicznych — oczywiście kompilacją wzbogaconą niewątpliwie rodzimymi anegdotami — jak w opowiadaniu o niedźwiedziu. Anegdota tego typu znane są zresztą i dziś. Wystarczy posłuchać opowieści amatorów sportu wędkarskiego — zwłaszcza opowieści o rybach, które dzięki rozumowi z piekła rodem schwytać się im nie dały...

Aby do końca uczynić zadość wymogom lojalności podajemy, że cytowany przez nas traktat omawiał w r. 1932 doc. dr. Kazimierz Simm w *Kuryerze Literacko-Naukowym*, skąd też zaczerpnęliśmy wiadomość o istnieniu *Ekonomijej Ziemiańskiej*.

KSIĄŻKI

Homolicki R. — Ludwikowski L. — Sermak R.: *Przewodnik po Krakowie wraz z informatorem oraz planami śródmieścia i Nowej Huty*. Kraków, 1957 Polskie Tow. Turyst.-Krajoznaw. Oddział w Krakowie s. 281, 1 nlb — plan śródmieścia — plan orientacyjny Nowej Huty dla celów turystycznych. Cena zł. 18,—

Kilarski M. Mamuszka F. Stankiewicz J. — *Oliwa*. Wykaz zabytków wg. stanu z grudnia 1956 r. Gdańsk—Gdynia 1957, Wydawnictwo Morskie s. 36, 6 planów. Cena zł. 6,—
Kowalski Waclaw — *Dolina Wielkich Jezior Mazurskich*. Przewodnik turystyczny. 2 wyd. Warszawa, 1957. Sport i Turystyka. S. 143 i nlb, 1 mapka. Cena zł. 8,05

Koźmiński Andrzej — *Duszynki-Zdrój i okolice*. Warszawa 1957. Sport i Turystyka. S. 93, 2 nlb — plan.
Mamuszka Franciszek — *Malbork i zamek malborski* — Gdynia 1957 r. Wydawnictwo Morskie. s. 82, 1 mapka, 5 planów. Cena zł. 6,—

Wolski Krzysztof — *Przemysł i okolice*. Przemysł 1957. Oddział PTTK w Przemyślu. s. 125 — plan okolic Przemyśla
Kowalski Zbigniew — *Czytam las*. Warszawa 1957 r. — „Iskry” s. 239. Cena zł. 45,—

Klub Wysokogórski posiada jeszcze pewną ilość egzemplarzy „Taternika” — nr 1/2 (12 zł) i 3/4, poświęconego w całości wyprawie andyjskiej (15 zł) z ubiegłego roku. Można je nabywać osobiście w lokalu Klubu w Warszawie, Aleje Ujazdowskie 22, w godz. 9—15, lub zamawiać listownie. Wysyła nastąpi za zaliczeniem pocztowym.

Po raz pierwszy od wznowienia ZIEMI przygotowaliśmy numer pisma we własnym lokalu redakcyjnym. Najpierw — nie otrzymawszy od Zarządu Głównego PTTK (którego jesteśmy organem) lokalu — korzystaliśmy z gościnności w Oddziale Krakowskim na pl. św. Ducha. W zimie r. 1956 kierownictwo biura Komisji Turystyki Górskiej w osobach p. Zofii Węgrzyn i p. Bohdana Małachowskiego — mimo własnych bardzo trudnych warunków — przyjęło redakcję do swych pomieszczeń na pl. Wiosny Ludów. Przez cały czas zarówno ze strony kierownictwa jak i pracowników biura doznawaliśmy jak najdalej idącej życzliwości i zrozumienia. Dziś tym wszystkim, którzy w trudnym okresie pracy redakcji udzielali nam pomocy, składamy najserdeczniejsze podziękowanie. Obecnie uzyskaliśmy, dzięki życzliwości sekretarza Oddziału Krakowskiego PTTK p. Włodzimierza Zemanka, jeden pokój do wytężonego użytkowania. Listy do nas prosimy adresować: ZIEMIA, Basztowa 6, Kraków.



Fot. Waclaw Nowak

RYSOWAĆ CZY NIE RYSOWAĆ

MARIAN KORNECKI

Nikt nie kwestionuje dzisiaj wartości dawnych rycin i widoków, szacunek budzą nie tylko nieliczne zresztą zachowane dawne sztychy sprzed paruset lat, ale także prace XIX-wiecznych „ilustratorów”. Widoki, których autorami są tacy rysownicy, jak Bogusz Stęczyński, Jan Nepomucen Głowacki, Józef Brodowski, Napoleon Orda i wielu innych mniej lub więcej znanych — weszły już do żelaznego repertuaru dawnej ikonografii Polski, jej krajobrazu, miast i zabytków. Oczywiście nie jest dziś do pomyślenia opracowanie studiów historycznych czy architektonicznych, jakiegokolwiek dokumentacji naukowej regionu, miasta czy poszczególnego obiektu zabytkowego — bez przebadania dawnej ikonografii tj. wszelkiego rodzaju dawnych rysunków, sztychów i malowideł. I tak np. studia nad architekturą starego Krakowa nie są dziś do pomyślenia bez zaznajomienia się ze zbiorem rysunków Brodowskiego (w posiadaniu Muzeum Historycznego Miasta Krakowa), prace nad zabytkami terenu byleż „Kongresówki” bez poszukiwań w tece inwentaryzacyjnej Stronczyńskiego (widoki zabytków wykonane przez kilku rysowników — w zbiorach Państw. Instytutu Sztuki) zaś dla obszaru całego Śląska podstawowym zbiorem świetnej ikonografii jest tzw. *Topografia Wenera* (w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu). Również dawne roczniki czasopism ilustrowanych z wieku XIX, takich jak *Kłosa* czy *Przyjaciel Ludu* — to ważne źródła materiałów ilustracyjnych, stale wertowane w odpowiednich bibliotekach i zakładach naukowych. Dawno podejmowano już próby stworzenia katalogu dawnej ikonografii Polski. Przedsięwzięcie to miałyby duże znaczenie naukowe.

Wartość zachowanego materiału ilustracyjnego, niezależnie od talentu i zdolności jego twórców lub różnego poziomu artystycznego polega przede wszystkim na utrwaleniu w ilustracji dawnego, nie zachowanego już oblicza kraju. Czasem, chociaż przedstawiony na dawnym widoku obraz nie uległ zasadniczej zmianie, wiele drugorzędnych szczegółów zaginionych w międzyczasie, może mieć znaczenie cennego dokumentu.

Wydawać by się mogło, że z chwilą pojawienia się aparatu fotograficznego i możliwości wykonania dobrej fotografii, oddającej najprecyzyjniej obraz rzeczywistości — rola rysunku zasadniczo straciła na znaczeniu. Życie jak gdyby potwierdziło to mniemanie, rysunek stał się prawie wyłączną dziedziną plastyki i techniki a „ilustratorzy” zniknęli, wyparci postępowaniem techniki fotograficznej. Czy jednak fotografia w pełni zastąpiła rysunek dokumentarny?

Teoretycznie wydaje się że tak jest, ale praktyka wykazuje co innego. Oczywiście, rozporządzając odpowiednim sprzętem fotograficznym można prawie wszystko w dogodnych warunkach sfotografować. Ale w większości przypadków wykonanie pełnej dobrej dokumentacji fotogra-



DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW

ficznej wybranego tematu nie jest możliwe. Obiekty często nie dadzą objąć się obiektywem, ich naturalne oświetlenie jest niewłaściwe dla wykonania dobrego zdjęcia, fotografia wykazuje różne zniekształcenie i trudne do uniknięcia skróty perspektywiczne — wreszcie fotografowanie wciąż jeszcze jest drogim i wielu drugorzędnych szczegółów po prostu nie opłaci się zdejmować.

Wielu badaczy i naukowców nigdy nie zrezygnowało z wykonania w terenie obok fotografii rysunków i szkiców, traktując je jako słuszną metodę pracy, przewyższającą nawet szczegółowe notatki opisowe. Jednakże rysunek dokumentarny nie jest niestety rozpowszechniony.

Dawne Koła Krajoznawcze Młodzieży uwzględniały w swych pracach wykonanie w terenie szkiców i rysunków jako ważną i atrakcyjną

formę działalności. Dorobek osiągnięty tą drogą był w swoim czasie pokaźny, o czym świadczą liczne prace i publikacje krajoznawcze i popularnonaukowe.

Wartołoby wskrzesić dawne, pożyteczne i wypróbowane formy pracy krajoznawczej „z ołówkiem i szkicownikiem w rękę”. Rzecz jest bardzo aktualna, nie tylko dla względów samokształceniowych: przecież z dnia na dzień przepadają bezpowrotnie zabytki dawnego budownictwa, dawnej kultury materialnej, tradycyjne formy zdobnicze. Wykonywanie i pomnażanie każdym sposobem wszelkiej dokumentacji dorobku kulturalnego jest potrzebne i pilne.

Co rysować?

Przed wszystkim należy wybierać tematy nieznanne. Szczególnie ważne są drobne obiekty architektoniczne

budownictwa wiejskiego i małomiasteczkowego: charakterystyczne zabudowania mieszkalne, gospodarcze, wiejskie obiekty przemysłowe, kościoły, kapliczki itd.

Rysunek wybranego obiektu winien zawierać:

— rzut poziomy, choćby schematyczny

— widok zewnętrzny, najlepiej elewację (tj. widok budynku z przodu)

— szczegóły konstrukcyjne, np. sposób łączenia węzłów, charakterystykę więźby dachowej itp.

— detale stylowe i zdobnicze: formy ornamentalne, obramienia drzwi, okien, stolarkę, herby, gmerki, napisy fundacyjne.

Należy pamiętać o odpowiednim podpisie rysunku i w razie potrzeby o jego objaśnieniu.

Czego nie rysować?

— Nie mając dość czasu i odpowied-

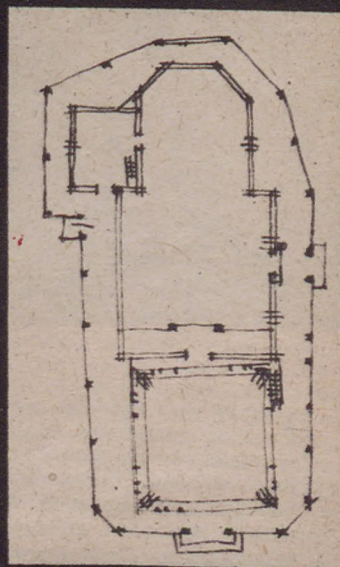
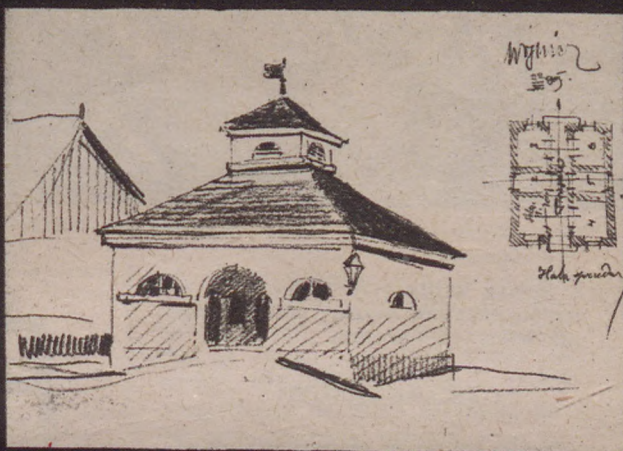
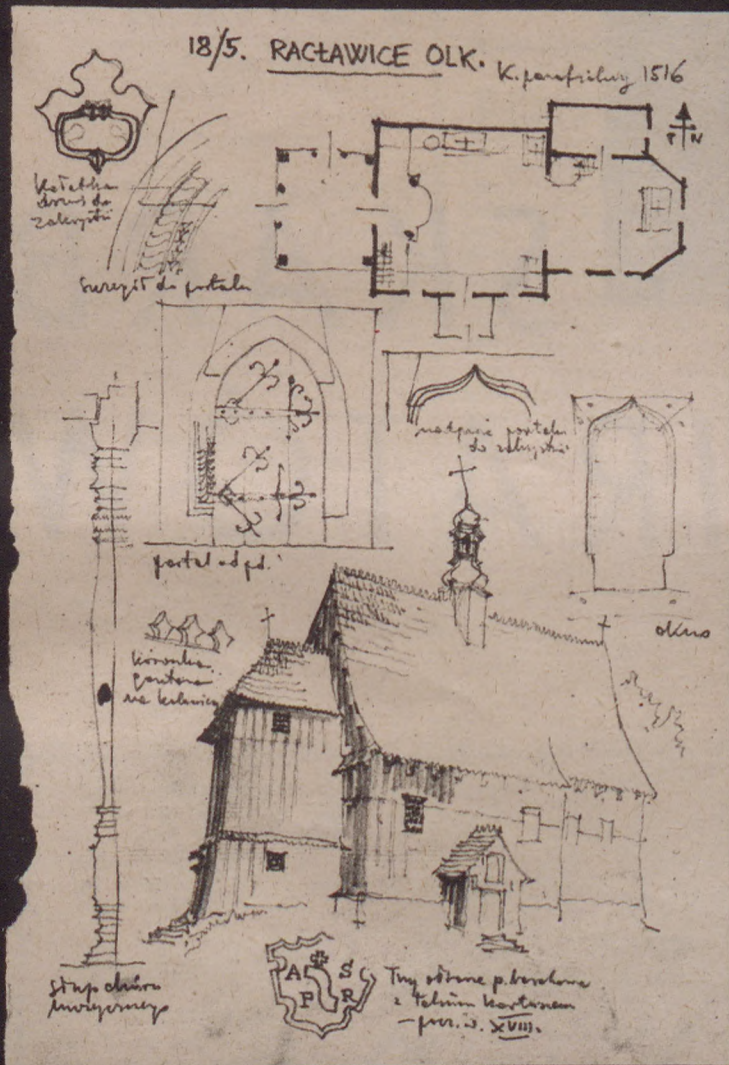
niej wprawy — lepiej nie rysować obiektów większych i skomplikowanych,

— nie warto szkicować obiektów znanych i publikowanych, a mając do wyboru inne ujęcia wybranego tematu — widoków dających się łatwo odfotografować.

— Często lepiej zrezygnować z położenia światłocienia, mogącego zatrzeć czytelność rysunku, również należy wystrzegać się w miarę możliwości zbytecznego opracowywania otoczenia wybranego obiektu, celem wydobycia właściwego tematu.

Gdzie rysować?

— Na miejscu. Odkładanie wykonania szkicu „na później” jest niewłaściwe. Lepiej pozostawić szkic niedokończony, niż zatracić wartość dokumentarną uzupełnieniem z pamięci.



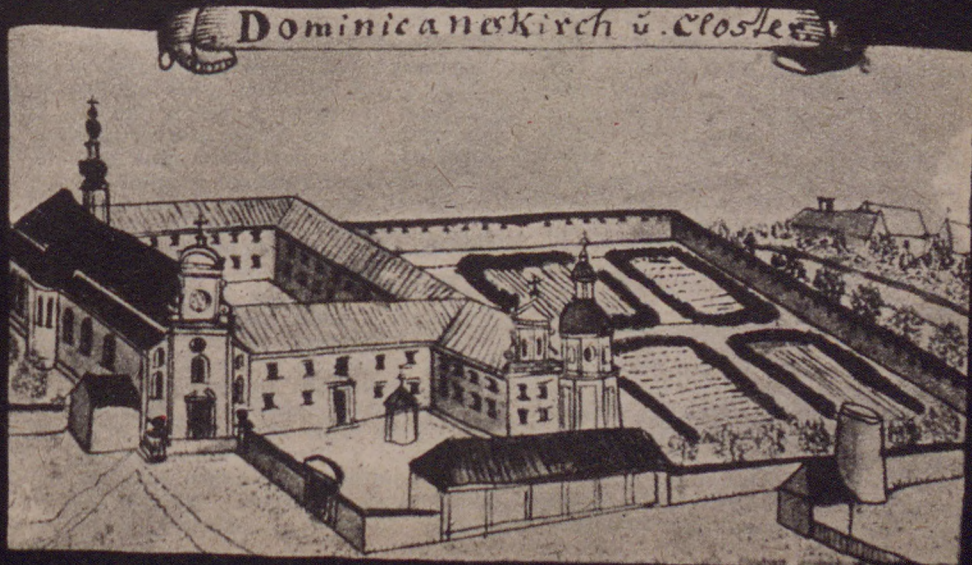
← Kartka z notatnika Mariana Korneckiego. Rysunki przedstawiają kościół parafialny w Raclawicach Olkuskich z r. 1516. Naszkicowane są wszystkie ważniejsze elementy zabytku

← Świetny szkic dawnej hali targowej w Wojniczu, wykonany przez Franciszka Mączyńskiego w roku 1905. Tylko dzięki temu rysunkowi wiemy jak wyglądał ten dawno zburzony budynek

← Odręczny planik drewnianego kościoła w Łękawicy (żywieckiej) wykonany przez Bogdana Tretera, przedwojennego konserwatora Wojewódzkiego w Krakowie. Sporządzenie takiego planu trwa tylko kilka minut, a jego przydatność może być bardzo duża

← Fryderyk Bernard Werner stworzył przed 200 laty sławną „Topografię” Śląska. Nie odznaczał się starannością w wykończeniu rysunków. Choć setki widoków miast i budowli Wernera robią wrażenie naiwnego prymitywu, myli się ten, co sądzi że brak im wierności. To ważny zbiór ikonografii Śląska. Reprodukacja przedstawia dawny zespół klasztoru dominikanów w Opolu

← Nieznany widok rynku w Grybowie. Rysunek piórkim, pochodzący z albumu, ofiarowanego przed stu laty biskupowi tarnowskiemu przez duchowieństwo. Rysownik — Marcełi Stohandel — chociaż nie posiadał wybitnego talentu, z taką dokładnością odtworzył szczegóły, że ten bodaj jedyny dawny widok Grybowa posiada dużą wartość dokumentarną. Gotycki kościół już dziś nie istnieje





SKARB PIRATÓW

Piraci w świecie awanturnych romansów mają od lat ugruntowaną pozycję. Morski opryszek nie boi się konkurencji ani ze strony wymachującego lassem i Coltami „desperado”, ani tajemniczego, szlachetnego włamywacza, bezszelstnie przenikającego przez najchytřej zastawione policyjne sieci. Ani nawet ze strony półdzikiego poszukiwacza futer i złota lub eksploratora i pogromcy całkowicie już dzikich mieszkańców dżungli. Drwiąc ze swych konkurentów żeglują pirat na staroświeckich okrętach poprzez wzburzony ocean zadrukowanego papieru i zdobywa abordażem popularność wśród czytelników coraz to nowych pokoleń. Nie dalej jak w lipcu tego roku na pierwszej stronie „Echa Krakowa” rozrządzano tajemnicze testamenty Kapitana Kidda a Wyspa skarbów wraz ze Złotem z Porto Bello święcą w księgarniach bezustanne tryumfy. Trzeba przyznać, że powieściowy pirat jest na ogół wobec nas, czytelników, uczciwy. Nie stara się on mianowicie ukryć przed nami zasadniczego celu swej profesji co nie zawsze można powiedzieć o szarmanckim dżentelmenie-włamywaczu lub tragicznym wykojeńcu z Dzikiego Zachodu. Pirat rabuje oczywiście skarby. To zazwyczaj zresztą przychodzi mu bez trudu. Trudności zaczynają się dopiero z chwilą, gdy chce swój łup ukryć, a już właściwie prawie nigdy nie czytamy o tym jak ten czy ów postrach mórz w spokoju spożywa owoce wypraw. Już bo w tej dziedzinie piraci (ci z powieści!) jako szczególnie nie mają szczęścia. Ukryte przez nich bogactwa po większej części pleśniej gdzieś w zapomnieniu a my po skończeniu książki jeszcze przez długi czas nie dostrzegamy naiwności fabuły, pozostając pod wrażeniem literackiej fikcji. Czy jednak zawsze tylko fikcji? Czy naprawdę w tych czasach nie zdarzały się wypadki, wobec których awanturnicze perypetie starego Murraya, Jana Silvera i kapitana Flinta wydają się całkowicie prawdopodobne?

Oto jeśli wierzyć angielskiemu tygodnikowi „Everybody's” Wyspa Skarbów istnieje naprawdę. Wiemy gdzie leży i jak się nazywa. Co więcej — trudno już dziś określić dokładnie ilość ekspedycji, które na przestrzeni ostatnich 100 lat poszukiwały ukrytych na niej dwu skarbów. Wszystkie powróciły z niczym.

A jednak każdy z tych złożonych na wyspie skarbów mógłby zrobić swego odkrywcę miliarderem.

SKARB BONITO

Działo się to w początkach ubiegłego wieku u wybrzeży Ameryki Środkowej. Wyspy morza Karaibskiego roily się od piratów różnych ras i języków. Nic dziwnego — tędy przecież płynęły konwoje hiszpańskich statków wioząc z amerykańskich kolonii do Europy swój cenny ładunek. Mimo troskliwej opieki jaką rozciągały nad nimi eskortujące je okręty wojenne, raz po raz w ręce karaibskich rabusiów wpadał któryś z hiszpańskich transportowców. Bardziej przedsiębiorczy piraci nie czekali aż zdobyc sama wypłynie na morze, lecz zniemacka pojawiali się u brzegów Meksyku, Panamy, Kolumbii lub Peru łupiąc bogate miasta kolonialne i czatując na karawany mułów znoszące srebro z górskich kopalni. Póki działali po atlantyckiej stronie panamskiego przesmyku z łatwością mogli korzystać z baz rozsiąanych na karaibskich wyspach. Sytuacja jednak po drugiej stronie przesmyku była znacznie trudniejsza. Ta część Pacyfiku bowiem w wyspy nie obfituje. Kiedy więc w roku 1819 znany podówczas portugalski pirat Benito Bonito złupił w tych okolicach 2 hiszpańskie statki, popłynął na wschód ku małej Wyspie Kokosowej. Ta górzysta wysepka, licząca zaledwie 8 mil² wydała się Portugalczykowi najodpowiedniejszą. Zdobyty skarb rozdzielono na 4 części i każdą z nich zakopano gdzie indziej. Ponadto w jednej z jaskiń ukryto 40 ton srebrnych monet a w drugiej około 800 sztuk złota i 100 sztuk broni, wykładanej podobno drogimi kamieniami. Wejścia obu jaskiń zasypiano i następnie kapitan Bonito ruszył na swym „Relampago” na Atlantyk. W pobliżu Ziemi Ognistej pochwycił ich brytyjski okręt wojenny „Espiegle”. Część piratów wraz ze swym kapitanem zginęła w walce, reszta zawiśła na rejach. Z całej załogi „Relampago” uszedł z życiem tylko jeden człowiek. Nie powrócił on jednak nigdy na Kokosową Wyspę. Zmarł w San Francisco pozostawiając bardzo niegłęboki szkic rozmieszczenia skarbów, z którego na próżno usiłowali skorzystać poszukiwacze.



UCIECZKI KAPITANA THOMPSONA

Drugi skarb posiada o wiele bogatszą historię. Ukrył go tu w roku 1820 kapitan Thompson, właściciel brygu „Mary Dear”. Thompsona wynajęło zamożne kupiectwo i duchowieństwo peruwiańskiego miasta Limy. Lękając się powstańców Szymona Bolívara ludzie ci złożyli pod pokładem „Mary Dear” swój majątek i polecili Thompsonowi przewiezienie go w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Tymczasem kapitan brygu, mając na statku tak znaczne bogactwa, uległ pokusie i umknął z peruwiańskiego portu, kierując się wprost ku Kokosowej Wyspie. Ładunek wypełnił w czasie lądowania 10 łodzi. Składały się nań obok złotych monet również stołowe srebra i kościelne naczynia liturgiczne. I w tym wypadku los przesładował posiadaczy skarbów. „Mary Dear” wpadnie niebawem w ręce peruwiańskiego okrętu wojennego i tylko Thompson uniknie egzekucji. Miał on bowiem wskazać miejsce, w którym ukrył łupy. Ale pewnej nocy jeniec umyka na pokład wielorybniczego statku i po wielu przygodach dociera do Nowej Funlandii. Tam przed śmiercią zapisuje w testamencie swemu przyjacielowi Keatingowi dokument umożliwiający odszukanie skarbu.

SAMOTNY POWRÓT

W roku 1841 Keating wynajął statek, popłynął na Wyspę Kokosową i skarb odnalazł. Tym razem jednak wziął ze sobą tylko nieco pieniędzy i garść drogich kamieni. Wróciwszy na Nową Funlandię zbudował specjalny szkuner i zaangażował na kapitana niejakiemu Boaga, któremu zdradził również swą tajemnicę. Obaj udali się na wyspę po złoto, które w sekrecie przed załogą przenieśli na pokład. Za drugim razem na szkuner powrócił już tylko Keating. Szkielet jego współnika prawdopodobnie do dziś spoczywa gdzieś w głębi wyspy. A Keating wracał tymczasem do domu. W czasie powrotu zbuntowała mu się załoga i niefortunny właściciel musiał schronić się na panamskim wybrzeżu. Statek buntowników zatonął następnie w okolicach przylądka Horn i znów obyło się bez niewygodnych świadków. W pięć lat później Keating odwiedza Kokosową Wyspę po raz ostatni przywożąc stamtąd ładunek kosztowności szacowany na 30 tys. funtów. Przed śmiercią wykonał wprawdzie mapę wyspy, jednakże na jej podstawie nie udało się dotychczas nikomu dotrzeć do reszty ukrytych skarbów.

POSZUKIWANIA

Skarbów szukano gorliwie. W 1896 r. brytyjski admirał Palliser usiłował odkopać zasypane jaskinie Wyspy Kokosowej za pomocą materiałów wybuchowych. Nic na tym nie zyskał oprócz surowej nagany udzielonej mu przez zwierzchników. Co więcej, admiralicja brytyjska wyraźnie zabroniła swym okrętom poszukiwań na tej wyspie. Toteż w 1902 r. ten sam Palliser pojawia się tu już jako cywil. Rząd Kostariki, do której należy Kokosowa Wyspa, pozwała na poszukiwania każdemu, z góry tylko zapewniając sobie udział w ewentualnej zdobyczy.

Znalezienie ładunku 3 statków i jednej karawany mułów na tak wielkim obszarze wydawałoby się może rzeczą prostą. A jednak np. w 1925 roku sir Malcolm Campbell spędził na wyspie wraz ze swą ekspedycją kilka tygodni na bezowocnych poszukiwaniach. Tenże sir Malcolm wysunął hipotezę, że tajemnicze plemie, które zamieszkiwało górzyste wnętrza wyspy, mogło odnaleźć skarby i ukryć je gdzieś wśród wąwozów górskich. Może skalne lawiny zasypały zupełnie jaskinie? A może któryś z wielu poszukiwaczy znalazł skarb i wywiózł go ukradkiem. Tylko że tak olbrzymie bogactwo nie jest łatwo spieniężyć niepostrzeżenie. Możliwe więc że skarby leżą tam do dziś pod strażą czaszki kapitana Boaga. (LZ)



PURIM

Rok rocznie w Izraelu z początkiem marca uroczyste obchodzi się święto Purim. Wiąże się ono z uroczystościami

mi przypominającymi europejski karawał. „Purim” głęboko sięga swą tradycją w historię Izraela. Święci się go na pamiątkę dnia ocalenia od masowej rzezi, jakiej dokonał zamierzając na Żydach król perski. Bawią się dzieci i dorosli. Przebijają się w szaty różnych postaci mitologicznych i historycznych, przywdziewają maski. Ulice i domy dekoruje się zielenią. Bajecznie kolorowe pochody zwane „Adlojada” przechodzą ulicami głównych miast przy akompaniamencie wesołych okrzyków i oklasków, przy dźwiękach muzyki. Tłum bawi się do późnej nocy. Tego dnia krewnym i znajomym wręcza się podarki świąteczne.

Żydowskie święto „Purim” ma jednak również charakter dorocznego święta religijnego. W tym dniu każda rodzina zasiada do bogato zastawionego stołu racząc się winem i spożywając tradycyjną potrawę tzw. „Oznej Haman” — „uszy Hamana” wroga Żydów perskich. (mlb)



Pierwotny herb i sztandar Stanów Zjednoczonych wykonali dwaj Duńczycy. Orła amerykańskiego wymalował na zamówienie Franklina duński emigrant Christian Guldager, a projektodawcą flagi złożonej z 13-tu srebrnych i błękitnych pasów był przybysz z Duńskich Indii Zachodnich, kapitan Abraham Markoe. Pierwotnie była ona sztandarem filadelfijskiego oddziału wojskowego, utworzonego przez duńskiego kapitana. Później, na wniosek Waszyngtona posłużyła ona za wzór fladze nowopowstałej republiki. (D)

*

W Szwecji, ojczyźnie „skansenów” istnieje dziś oprócz wielkich kolekcji muzealnych kilkadziesiąt drobnych lokalnych muzeów historycznych. Przedstawiają one dzieje i kulturę swego miasteczka lub regionu. Niektóre z nich mieszczą się w zabytkowych wiejskich farmach. (Lz)

*

W Prado (Urugwaj) co roku odbywają się publiczne pokazy ujeżdżania koni. Biorą w nich udział najprawiejsi gauchos z całej okolicy. Widowisko trwa przez szereg dni i obok popisów jeździeckich obejmuje występy pasterzy, którzy odziani w barwne stroje śpiewają swe tradycyjne piosenki. Popisy gauchos to cenna dla Urugwajczyków impreza folklorystyczna ściągająca co roku do Prado wielu cudzoziemskich turystów. (Lz)

*

U wybrzeży wysp Mull na Hebrydach spoczywa na dnie morskim hiszpański okręt „Duquendi Florencia”. Wchodził on w skład „Niezwyciężonej Armady” i wiózł pod pokładem zółd dla całej floty, a także podobno i koronę, którą miał włożyć w Anglii na swe skronie Filip II po pokonaniu wyspiarzy. „Duquendi Florencia” zatonięła w czasie burzy, która tak bardzo dała się we znaki Hiszpanom. Mimo szeregu prób do dziś skarbu z galiony nie udało się wydobyć. (Lz)

*

Pierwsze rezerwaty przyrodnicze na Słowacji założono w roku 1895. Były to: Ponická Hata i Šalkova. W ciągu sześćdziesięciu lat przybyło następnie 76 rezerwatów i olbrzymi Tatrzanski Park Narodowy (TANAP). Najwięcej rezerwatów (15) założono w roku 1953; w latach 1949 — 1955 przybyły ogółem 62 rezerwaty. W latach 1945 — 48 — ani jeden. W projekcie jest założenie 10 dalszych rezerwatów, oraz drugiego parku narodowego — w Niżnych Tatrach. (p)

BELGOWIE O ROLI MUZEUM

Do połowy zeszłego wieku muzea były wyłącznie zbiorami sztuki, nauki i rzemiosła. Nie uwzględniano ich wychowawczej roli dla społeczeństwa. W 1928 r. konserwator British Museum F. Kenyon stwierdził, że dobrze pomyślane muzea powinny wpływać na rozwój trzech właściwości psychiki ludzkiej: ciekawości, poczucia estetyki oraz poczucia ciągłości dziejów narodu i cywilizacji. Z ostatnim punktem tego twierdzenia zgodził się Belg Albert Marinus, autor dzieła *Lokalne Muzea (Museés Locaux)*. Dowodzi on, że człowiek, który z natury swojej dąży do zachowania i przekazywania życia, powinien w Muzeum odnaleźć ten rys mu właściwy, oglądając wytwory ludzkiej kultury następujących po sobie generacji. Jean Capart mówi natomiast, że muzea — od chwili pojawienia się teorii Darwina — nie mogą ograniczać się jedynie do udanej kolekcji, lecz winny przechowywać ślady rozwoju życia poprzez wieki. Zestawienie doświadczeń archeologii i etnografii sprzyja temu zadaniu.

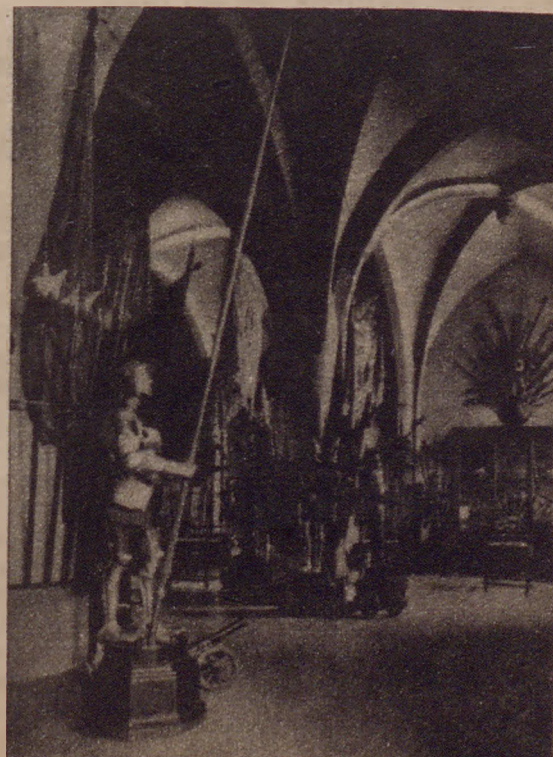
Z początkiem XX wieku, dzięki upowszechnieniu wiedzy, przymusowi szkolnemu i rozwojowi komunikacji muzea stały się dostępne dla szerszej publiczności. To zachęciło konserwatorów i kustoszów muzeów do bardziej atrakcyjnego i staranniejszego wystawiania eksponatów, by budzić ciekawość i chęć doskonalenia się u zwiedzających.

W Brukseli jest specjalny tramwaj zwany „tramwajem muzeów”. Jeździ on trasą, na której znajdują się wszystkie ważniejsze muzea stolicy jak Dom Erazma, Muzea Królewskie Sztuki i Historii itp.

Brabanckie Towarzystwo Turystyczne zamierza zorganizować również objazdy 52 muzeów, by zapoznać turystów z życiem duchowym, artystycznym, intelektualnym i rzemieślniczym swojej prowincji.

Ciekawe jest określenie roli muzeum podane przez Georga W. Stevensa dyrektora muzeum w Toledo: tak jak szpitale wracają chorym zdrowie, tak muzea czynią zdrowych — lepszymi.

na podst. „Brabant” opracowała IP



Jedna z sal brabanckiego „Muzeum Zbroi i Broni”, pomieszczonego w zabytkowych wnętrzach

W HOLANDII

dawne zwyczaje przewidywały dekorowanie wiatraków, zwłaszcza z okazji tradycyjnych świąt i obchodów, ale i przy pomniejszych okazjach nawet samo ustawienie skrzydeł coś oznaczało: wiatrak unieruchomiony w dzień świąteczny, lub z powodu jakichś rodzinnych uroczystości właściciela — zatrzymywano ze skrzydłami ukośnie ustawionymi, w pozycji odpowiadającej krzyżowi św. Andrzeja; pionowe ustawienie skrzydeł — mogło oznaczać żałobę. Podobno w czasie ostatniej wojny i okupacji, Holendrzy odpowiednim ustawianiem skrzydeł gęsto rozsianych wiatraków — przekazywali znaki i wiadomości konspiracyjne ruchu oporu.

Obecnie tradycja odświętnego i wymyślnego przystrojania wiatraków już zamarła i zachowane fragmenty dekoracji powiększyły zbiory Muzeum Młynarstwa. Wiatraki zaś, mimo iż przeważnie wyszły już z powszechnego użycia zgodnie z swym pierwotnym przeznaczeniem — zachowane i wzorowo utrzymane, wzbogacają charakterystyczny nizinny krajobraz. (MK)



WYKOPALISKA W LONDYNIE

Przy budowie domu z końcem 1954 r. odkryto w śródmiejskiej dzielnicy Londynu Walbrook miejsce kultu Mitry z pierwszych wieków n. e. Obok bardzo interesujących rzeźb znaleziono dobrze zachowaną srebrną szkatułkę, pięknie wykonaną i bogato zdobioną, która zawierała filtr służący prawdopodobnie do przygotowywania jakichś płynów obrzędowych.

Odkrycie to jest tym bardziej interesujące, że znalezione przedmioty wykazują bliskie pokrewieństwo z wykopaliskami na Sycylii. Kult Mitry wyparty z Italii przez chrześcijaństwo w ciągu IV w. utrzymywał się jeszcze czas jakiś na peryferiach imperium rzymskiego m. in. w Brytanii. (G)

BILANS TURYSTYCZNY FINLANDII

W 1956 r. zwiedziło Finlandię 240 000 turystów, w tym — 158 000 Szwedów, 15 600 Niemców, 8 500 ludzi radzieckich, 4 500 Francuzów. Przyniosło to Finlandii 3 100 000 marek w dewizach zagranicznych. Turysty fińscy natomiast wywieźli za granicę 4 600 000 marek. (ap)

KOLONIALNA KUCHNIA

W lipcowym numerze *Świata* ukazał się artykuł Melchiora Wańkowiaka opisujący m. in. niezwykle pomysłowo opracowywane programy wycieczek, które oferują swym klientom amerykańskie biura turystyczne. Turysta może wybrać typ wycieczki pod kątem swoich zainteresowań. W tym nie pominięto i smakoszy „których w ogóle będzie się cały czas nadziewać jakimiś wyjątkowymi smakołykami, a przy tym gwarantuje się siedem bankietów, od których bieleje oko w siedmiu krajach Europy”. Smaczna kuchnia regionalna bowiem to ważny szczegół w całej polityce turystycznej zachodnich krajów, czerpiących znaczne dochody z międzynarodowej turystyki. Oto jak zachwalają swój kraj pod tym względem Wenezuelczycy w wydawanym w USA miesięczniku *Venezuela up-to-date*:

„Posiłek w Wenezueli jest rytuałem sam dla siebie, a w każdym razie był nim. dotąd, póki nerwowy pośpiech dnia dzisiejszego nie zmusił wielu ludzi do drastycznego skracania czasu jaki poświęcali na śniadanie, obiad i kolację, no i na błyskotliwą rozmowę przy stole”.

Tak żali się pewien wenezuelski dziennikarz w artykule o tradycyjnych potrawach swego kraju. Jakkolwiek Wenezuela nie jest krainą słynnych smakośzów i sława jej kuchni nie sięga na ogół poza granice „państw ABC”, to jednak istnieje tu sporo regionalnych odmian menu. Zadowolą one wymagania — jeżeli wierzyć naszemu Wenezuelczykowi — nawet najwybredniejszych cudzoziemców. Nie chodzi w tym wypadku bynajmniej o jakiś egzotyczny jadłospis nie mniej egzotycznych dzikusów, przyprowadzający o dreszczyk mieszkańca wielkich miast Ameryki Północnej czy Europy. Mowa tu o tradycyjnych potrawach, jakie do dziś pojawiają się na stole zarówno białego i indiańskiego rolnika, jak i mieszkańca wenezuelskich miast z ultranowoczesnym, milionowym Caracas na czele. Chodzi bowiem o kuchnię „ucywilizowaną”, która wytworzyła się w kolonialnym okresie historii tego kraju. Złożyły się na nią tak menu tubylczych ludów indiańskich, jak i potrawy przywiezione z Europy przez konkwistadorów i kolonistów.

Do najpopularniejszych tradycyjnych potraw tropikalnej republiki należy „hallaca” — placek który się piecze owinięty w liście babki. Uzyskuje on dzięki temu znakomity aromat. Hallakę nadzianą kurczętami i wieprzowiną podaje się z czosnkiem, cebulą, oliwkami lub migdałami — w zależności od miejscowych upodobań. „Hallaca” wenezuelska wiąże się przede wszystkim z okresem Bożego Narodzenia a początki jej giną w niepamięci. Wiadomo tylko że prymitywne szczepy indiańskie znały od dawna rodzaj zbożowego ciasta, głównej części składowej dzisiejszej hallaki.

Inną znaną powszechnie potrawą jest tak zwana „arepa”, płaska bułka wypiekana początkowo na patelni, a później na blasze, by skórka stwardniała. Arepę jada się zazwyczaj na gorąco, z masłem, serem lub wieprzowiną. I w tym wypadku początków arepy należy szukać w dawnych indiańskich podplomykach.

Do tradycyjnych specjalności stolicy

należą „hervido de gallina” (duszone mięso kurcząt) „sanchocho” (duszone mięso rybne), flaki i kurczkę z ryżem. Ryż w ogóle cieszy się tu ponoć większą popularnością niż np. makaron. Częstym gościem na stołach Caracas jest poza tym czarna fasola wenezuelska.

Inaczej rzecz przedstawia się w Andach, w górzystym stanie Táchira. Tu w miejscowym jadłospisie na czoło wysuwa się nadziewane prosię. Innym przysmakiem regionalnym jest tu „chicharrón” — wysmażana, chrupiąca skórka ze słoniny. Smakosze wenezuelscy radzą jeść chicharrón powoli, obficie zakrapiając go rumem, czerwonym winem lub po prostu kawą. W żadnym jednak wypadku nie wodą!

Leżąca na morzu Karaibskim wyspa Margarita, ongiś baza piratów i miejsce zaciętych walców z Hiszpanami, słynie nie tylko ze swej historii, lecz również — z króliczej potrawy.

Na zachód od Caracas znajduje się wielkie rolniczo-hodowlane centrum, stan Aragua. Niejeden już podróżnik spędził w nim podobno o wiele więcej czasu niż pierwotnie zamierzał. Zaslugę ponoszą tu „el arroz con costillitas araguanas” — kotlety wieprzowe z ryżem, smażone w araguańskich miasteczkach. Specjalnością stanów Portuguesa, Cojedes i Barinas jest „perico” — jajecznica z siekaną cebulą, „chicharronem” i pomidorami. Perico je się tu na śniadanie.

Amatorom słodczy uniwersyteckie miasto Merida ofiaruje „brillantes” — kandyzowane owoce. W okresie „kolonialnym” wyrobem ich zajmowały się żeńskie klasztorzy. W Maracaibo stolicy „wenezuelskiego Texasu”, gdzie wieże sztybów naftowych sterczą wprost z dna jeziora — poczęstuj was gęstym, słodkim syropem, przyrządzonym z żółtek, cukru, esencji waniliowej i brandy.

A zatem „podróż do Wenezueli zadowolili nawet najwybredniejsze gusta” — kończy południowoamerykański dziennikarz. My niestety — możemy mu tylko wierzyć na słowo. (L. Z.)

P. S. A kiedy polska kuchnia doczeka się podobnych opracowań? Dzięki naszym kontaktom z krajami Orientu polska wiedza kulinarna od wieków stała na znacznym poziomie. Do dziś np. nasze słodczy eksportowane za granicę cieszą się zasłużoną sławą. Kto wie czy nie stałoby się tak i z innymi rodzajami potraw? Niestety, jak dotychczas, nie umiemy się nimi w nowoczesny sposób pochwalić.





KOWBOJE

Z

GALILEI

Dziwny profesor rozpoczął lekcję z 30 izraelskimi studentami. Trasa jego podróży z Wyoming w St. Zjednoczonych nad jezioro Tyberiadzkie wyniosła 6 tys. kilometrów. Zanim minister rolnictwa Izraela zaproponował mu objęcie nowej posady, całe swe dotychczasowe życie poświęcił John Killough awanturniczemu zawodowi kowboja w północno-zachodnich Stanach.

Po zakończeniu wojny młode państwo stanęło wobec katastrofalnego braku bydła rogatego. Wielkie stada i drobne hodowle zostały wyniszczone podczas działań wojennych. Trzeba więc było wyszkolić kadrę ludzi, którzy byłiby w stanie pokierować odradzającą się hodowlą. W tym celu właśnie John Killough został dyrektorem pierwszej na świecie szkoły kowbojów.

Delegacja ministerstwa rolnictwa uzyskała w Stanach Zjednoczonych dokładne informacje o metodach uprawiania pięciu gatunków roślin specjalnie wytrzymałych na suszę i dzięki temu nadających się do założenia sztucznych pastwisk na terenach pustynnych. W

Turcji zakupiono pewną ilość krów rasy indyjskiej. Do „Rancho Galilea” w bliższej dolinie Genezareth przybyło 30 uczniów, wybranych spośród dawnych drobnych hodowców.

John Killough rozpoczął w tej dziwnej szkole wykłady. Władanie lassem i woltżerka na wysokich siodłach już po roku nie przedstawiała żadnych trudności dla studentów. Pomimo odmienności klimatu nowi galilejscy kowboje nie wyrzekli się romantycznego ekwipunku pasterzy amerykańskich. Składają się nań: kolorowa koszula, niebieskie „farmerki” (blue-jeans), skórzane buty, pilśniowe sombrero z szerokim rondem. Dzięki temu szkoła przypomina hollywoodzki „western”.

Dziś John wysoko ocenia już kwalifikacje swoich uczniów, choć — jak powiedział — „nie żują oni tytoniu”. Z uznaniem wyrażał się także o ich poważnym stosunku do „studiów”. Eksperti handlowi planują już podobno tony wółowiny z nowej hodowli. Tylko czekać jak filmowcy zainteresują się malowniczym — jak tu się żartobliwie mówi — „krowim uniwersytetem” (B. B.)



600 MOŹDZIERZY



NA DNIE MORZA

Dwóch nurków poszukując homarów na dnie Pacyfiku niedaleko portu Solaria Beach w południowej Kalifornii, natrafiło na rodzaj kamieni młyńskich czy też moździerzzy z granitu i piaskowca. Wydobyli ich 141 sztuk. Dalsze poszukiwania prowadzone już przez archeologów podniosły tę cyfrę do 600. Ustalono również wiek moździerzzy. Pochodziły one

sprzed 2000 lat. Wiele z nich zdobi ornament z odcisniętych traw morskich i muszli. Działanie wody nie wiele wpłynęło na stan ich zachowania. Świadczy o tym chropowatość powierzchni powstała na skutek uderzeń twardego kamienia przy obróbce. Jaka jest ich historia? Jeśli tłuczono w nich ziarno — a widać ślady użycia — gdzież podziały się pał-



ki? Nie znaleziono dotąd ani jednej. A może były to przedmioty związane z kultem religijnym? Wiadomo, że rybacy w dawnych czasach wrzucali przed większą wyprawą przedmiot własnego wyrobu do wody, by zaskarbić sobie przychylność bóstw morskich, lub zabezpieczyć się przed złymi siłami. Mógł to być też rodzaj ofiary składanej w czasie pogrzebo-

wych uroczystości. Najprawdopodobniej jednak miejsca, w których znaleziono moździerzze zamieszkiwały osiadłe tu niegdyś plemiona, które w miarę podnoszenia się poziomu wód oceanicznych (okres topnienia lodowca) przenosiły się w głąb lądu. Najnowsze badania archeologiczne to potwierdzają. (ip)

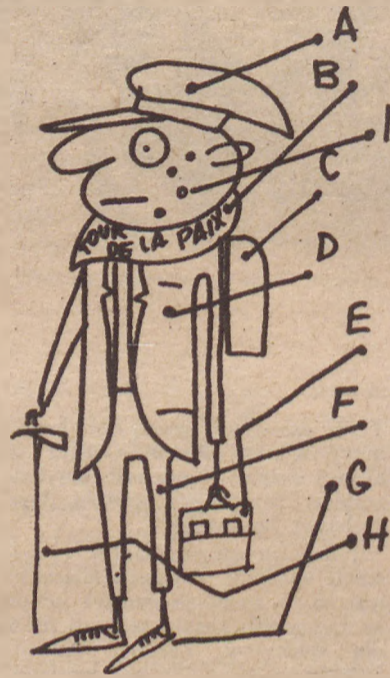


KONKURSY FOTOGRAFICZNE

Do redakcji naszej nadchodzą co pewien czas zawiadomienia, listy, powielane lub drukowane ulotki informujące, że taka czy inna instytucja lub stowarzyszenie ogłasza konkurs fotograficzny o tematyce krajoznawczo-turystycznej. W stosunku do informacji o innych formach działalności krajoznawczej — ilość tych konkursów jest zastanawiająco duża. Być może — jak przypuszczają jedni — jest to najłatwiejsza, najszybsza forma „wykazania się” działalnością, albo — jak twierdzą inni — konkursy te cieszą się specjalnym powodzeniem i jako atrakcyjna forma pracy muszą być często rozpisywane. O tym mogłyby coś powiedzieć wyniki. Ba! Prasa często zamieszcza zapowiedzi różnych konkursów, natomiast rzadko — ich wyniki. Z tych, które znamy wynika, iż dość często nie przyznaje się pierwszych nagród, lecz tylko równorzędne drugie. Świadczyłoby to o niskim poziomie prac i słabym ilościowo rezultacie konkursów. Jak jest z nagrodami? One przecież w dużej mierze stanowić powinny o powodzeniu konkursów. Z tym jest różnie. Ministerstwo Oświaty na przykład w tegorocznym konkursie dla uczniów przeznaczyło na nagrody namiot, rower, radio bateryjne, aparat fotograficzny... Wojewódzki Komitet do Spraw Turystyki w Bydgoszczy — sporą ilość nagród pieniężnych (do 800 zł) oraz nagrody rzeczowe. Są i konkursy skromniejsze. „Piękno Ziemi Łowickiej” Rady Narodowej w Łowiczu i miejscowego PTTK zapowiada tylko nagrody nie wymieniacząc ich wartości. Jednak najczęściej nagrody są na tyle cenne, że dla amatorów a szczególnie młodzieży powinny być silnym bodźcem do wzięcia udziału w konkursie. Tylko dlaczego tak rzadko publikuje się nagrodzone prace? Czyżby poziom ich był tak niski, że organizatorzy konkursu wolą się nie chwalić? Dlaczego tak rzadko ogłasza się szczegółowe wyniki?

Nie przesądzając sprawy zgłaszamy kilka uwag: Po pierwsze — zgodzimy się drukować na łamach ZIEMI zapowiedź i warunki konkursu tylko w tym wypadku, jeśli organizatorzy zobowiążą się do powiadomienia nas później o wynikach. Po drugie — postulujemy udział w sądach konkursowych artystów fotografików z głosem decydującym. Po trzecie — radzimy nie przyznawać (bezlitośnie) wysokich nagród, gdy poziom prac jest niski, a gdyby był zupełnie mierny — w ogóle nie przyznawać nagród. Po czwarte — radzimy organizatorom konkursów w trakcie ich przygotowywania porozumiewać się z najbliższymi oddziałami Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. Gdy konkursy są poważniejsze — także z oddziałem Związku Polskich Artystów Fotografików.

Czy potrzebna jest „MODA TURYSTYCZNA”?



**TURYSTYKA MASOWA
STROJ BEZWZGLĘDNE
OBOWIAZUJĄCY**

- A — CZAPKA „TECHNIKUM”
- B — FANTAZYJNA APASZKI
- C — TORNISTER
- D — MARYNARECZKA-KOŁ-
CIK GRANATOWY/TENIS
- E — JAJKA NA TWARDO
(W TECZCE)
- F — SPODNI
- G — TENISÓWECZKI
- H — PIUPAGA
- I — PRYSZCZE

BRAWO, PANIE MROŻEK!

Gdyby ZIEMIA ufundowała doroczną nagrodę za działalność krajoznawczą, muirowanym kandydatem w dziale plastyki byłby Sławomir Mrozek. I to po trzykroć — raz za obraz „Polska — widok ogólny” (urzednicy zamieszkuja wolne przestrzenie między gorzelniami), drugi — za obraz z serii Foreign Edition pt. „Wszyscy są grubsi od dobrego powodzenia się każdemu” i wreszcie za powyżej reprodukowany obraz „Turystyka Masowa”.

Genialnie satyryczne przedstawienie rodzimego globtrottera napawać

musi przerażeniem każdego, komu leżą na sercu losy naszej turystyki. Na pewno nikt nie odpowie już przecząco na pytanie „czy potrzebna jest moda turystyczna?”. W następnym numerze ZIEMI otwieramy stały dział poświęcony informacji o praktycznym, estetycznym i oszczędnym sposobie ubierania się na wszelkie turystyczne okoliczności. Tych wszystkich czytelników, którzy się na tym znają zapraszamy do współpracy, tych zaś, którzy się nie znają — prosimy o nadsyłanie pytań i życzeń.

W starym korycie rzeki Pasłęki wskutek wzniesionej przez bobry tamy długości kilkudziesięciu metrów a szerokości 1 m powstało rozlewisko o obszarze kilku ha. Do budowy tamy zwierzęta użyły gałęzi drzew i ilu rzecznych.

Opracowania dzieła „Przewodnik podręczny po Polsce” podjęło się wydawnictwo Handlu Zagranicznego „Acpol”. Będzie to rodzaj polskiego Baedekera — publikacji znanej i popularnej za granicą — u nas opracowanej po raz pierwszy. Dziełko ma być publikowane w 3 wersjach, w dwóch polskich (pełnej i skróconej) oraz obcojęzycznej. Przewiduje się, że polska wersja liczyć będzie 5 tomów. Tom I poświęcony będzie Warszawie i okolicy, tom II — Polsce północno-wschodniej, tom III — Polsce południowo-wschodniej, tom IV — południowo-zachodniej, tom V — północno-zachodniej. Polska wersja skrócona przeznaczona będzie dla turystów z Polonii zagranicznej. Trzecia wersja (obcojęzyczna) drukowana będzie w 4 językach: angielskim, francuskim, niemieckim i hiszpańskim.

Pracownicy Muzeum Historycznego w Warszawie opracowują bibliografię stolicy. Bibliografia ta będzie obejmowała wszystkie „warszawiana” od początku istnienia miasta do roku 1954.



W Krośnie i w Gorlicach zostały otwarte muzea regionalne, których ekspozycje reprezentują rozwój przemysłu naftowego.

Muzeum w Czeskim Cieszynie zorganizowało konkurs krajoznawczy dla młodzieży narodowości polskiej i czeskiej. Konkurs stawia za obowiązek zwiedzenie przynajmniej 5 miejscowości na terenie woj. cieszyńskiego zapisanie jakiejś baśni, zwyczajów ludowego, lub zdarzenia historycznego z Cieszyńskiego oraz zwiedzenie miejscowego muzeum i uapisanie notatki o tym co się w tym muzeum najwięcej podobało.

W Sądzie Powiatowym w Makowie Mazowieckim odbędzie się proces przeciwko mordercom losia — Langowskiemu i Gwieździe. Chronione zwierzę zostało zabite dnia 9. 8. br. na terenie wsi Sielce Nowe.

Po raz pierwszy w Polsce wyhodowano na wolnym powietrzu bambus gatunku chińskiego. Rośnie on w parku dendrologicznym w Przelewicach w woj. szczecińskim.

W sierpniu b. r. została powołana rozporządzeniem Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego Straż Ochrony Przyrody. S. O. P. może być utworzona na terenie każdego województwa przez Prezydium odpowiedniej Rady Narodowej. Będzie ona powołana spośród członków Ligi Ochrony Przyrody. P. T. T. K., Polskiego Związku Łowickiego i

CIEKAWOSTEK SPRZĘTOWYCH

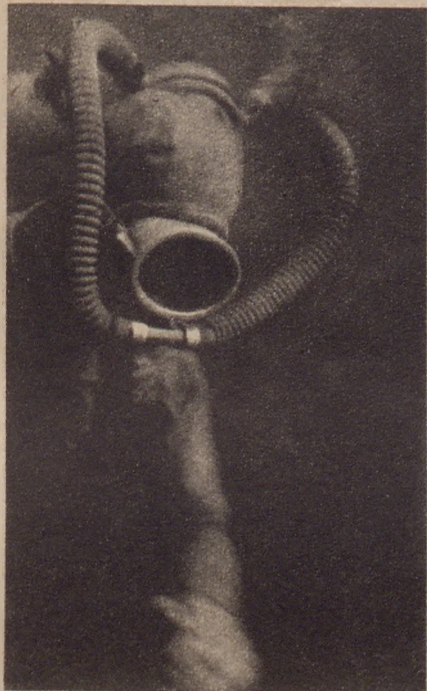
ciąg dalszy

W KRAJU:



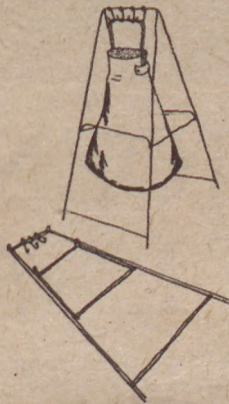
Młody konstruktor krakowski Wiesław Maczek jest autorem udanego prototypu aparatu do nurkowania, o którym wspomiano w lipcowym numerze ZIEMI. Zdjęcie podwodne tego aparatu

wykonał inż. Romer w Sopocie podczas zajęć kursu instruktorów nurkowania. Poznano wówczas działanie różnych typów skafandrów. Okazało się iż najlepsze są nadal niemieckie Delphiny, drugą lokatę uzyskał aparat polski (na zdjęciu), a trzecią dopiero — oryginalny francuski Cousteau-Gagnan.



ZA GRANICĄ:

Na biwakach zapas czystej wody przechowuje się w plastikowych torbach. Zbiorniki takie zawieszają się czasem na nierdzewnych, składanych stojakach. Plastikowe szelki zamieniają torbę w plecak, ułatwiając transport wody na dłuższych odcinkach.



Wszelkie emaliowane czy aluminiowe manierki są już przeżytkiem. Za granicą używa się prawie wyłącznie lekkich manierek i flaszek z mas plastikowych. Nie podlegają one korozji i (ważne) po umyciu nie zachowują tak charakterystycznego dla aluminiowych manierek zapaszku stęchliny. Zamknięcia wykonane są również z plastiku

Polskiego Związku Wędkarskiego. Zadaniem członków straży jest współdziałanie z organami administracji państwowej w zakresie przestrzegania przepisów o ochronie przyrody.

Niepokoją wiadomości o wymieraniu wiaźów (ulmus). Drzewa te niszczy choroba zwana „grafiozą”, która przedostała się do nas w poł. XIX w. z Holandii.



Liga Ochrony Przyrody w roku bieżącym przeprowadza inwentaryzację wszystkich „pomników przyrody”.



Najgłębszymi jeziorami w Polsce są: Hańcza (169 m) Drawsko (83 m) Wielki Staw (76 m) Wigry (73 m) i Wuśniki (64 m). Największe jest jezioro Śniardwy na Mazurach.



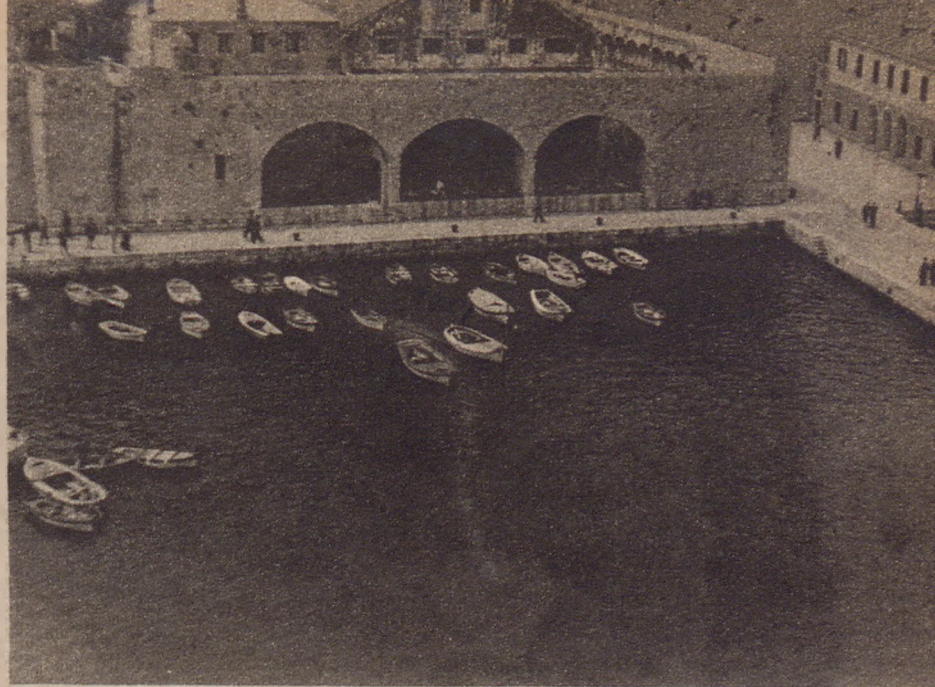
Szkolenie fachowe dla funkcjonariuszy M. O. w Komendzie Miejskiej w Krakowie zostało ostatnio wzbogacone wykładami z zakresu ochrony przyrody. Sluchacze żywo podobno interesują się powyższym zagadnieniem.

Oddział PTTK w Starogardzie Szczecińskim przy znacznej pomocy konserwatora zabytków, władz powiatowych i miejskich odbudował tzw. bramę Porycką — jedną z dawnych bram miejskich. Na III piętrze bramy projektuje się umieszczenie teatryku eksperymentalnego. Zespół przyszłego teatryku przygotowuje już teksty K. Galszyńskiego. Na II piętrze znajdują pomieszczenie placówki administracyjnej PTTK, a na I piętrze umieszcza się klub turystyczny.

W Warszawie powstała Spółdzielnia pod nazwą „Turysta”. Zamierza ona zorganizować wycieczki krajowe i zagraniczne, prowadzić własne domy wypoczynkowe oraz ośrodki campingowe. Zamierzeniem spółdzielni jest właściwe organizowanie urlopów i weekendów dla jak największej rzeszy ludności. Wycieczki zagraniczne, które projektuje spółdzielnia, opierałyby się na zasadzie wymiany bezdewizowej. Zawarta już została umowa o wymianie turystów z Jugosławią. Podobne umowy mają być zawarte z krajami skandynawskimi, Wielką Brytanią i Italią.



Rok bieżący upływa pod znakiem jubileuszów. A więc obchodziliśmy 700-lecie lokacji Krakowa, 700-lecie lokacji Starego Sącza, 500-lecie Skierniewic, 700-lecie lokacji i 1800 (?)-lecie istnienia Kalisza, 800-lecie Płocka oraz 700-lecie kościoła oo. dominikanów w Krakowie.



TURYSTYKA I KRAJOZNAWSTWO W JUGOSŁAWII (Dokończenie)

czycy są prawosławni, a około miliona ludzi wyznaje mahometanizm. Do tego wspomnieć trzeba o sporej mniejszości albańskiej i węgierskiej, kultywującej swój język i tradycje ludowe.

Podział na republiki posiadające odrębną historię, odrębny język i kulturę, powoduje bardzo silne zainteresowania regionalne. Ten „patriotyzm lokalny” nie przeszkadza zresztą patriotyzmowi — jeśli tak można powiedzieć — ogólnopństwowemu, którego widowym dowodem były choćby prowadzone w całej Jugosławii walki partyzanckie przeciw hitlerowcom. Niemniej jednak życie kulturalne przebiega przede wszystkim w obrębie poszczególnych regionów. Również zainteresowania krajoznawcze i turystyczne mają charakter regionalny. Szczególnie żywa jest w Jugosławii turystyka górską. W poszczególnych republikach istnieją związki turystów górskich, a w Belgradzie istnieje tylko wspólny komitet koordynujący ich działalność. Turystyci Słowenii (Planinska Sveza Slovenije) wydają bardzo interesujący miesięcznik *Planinski Vestnik*. Jak widać z przeglądu tegorocznych zeszytów pismo to obok treści alpinistycznej (w tym doskonały przegląd światowych wydarzeń alpinistycznych) zawiera także dużo materiału krajoznawczego: opisy, mapki i fotografie grup górskich Jugosławii, opisy jaskiń, artykuły przyrodnicze i historyczne. Turystyci górscy Chorwacji (Planinarski Savez Hrvatske) wydają

podobny miesięcznik, *Naše Planine*. Dobrze rozwinięta jest również w Jugosławii speleologia i alpinizm podziemny. Jedyne dotąd czasopismo z tego zakresu wydają speleolodzy Zagrzebia. Nosi ono tytuł *Speleolog* i zawiera w każdym numerze bogate materiały do znajomości jaskiń Chorwacji, Słowenii, Chorwacji i Serbii posiadają równoległe czasopisma przyrodnicze, które przynoszą także wiadomości o przyrodzie poszczególnych regionów.

W gospodarce Jugosławii turystyka zagraniczna odgrywa doniosłą rolę gospodarczą jako źródło dewiz. Podstawą istnienia tej turystyki nie są specjalnie wytworne czy modne hotele (choć pod względem kultury turystycznej Jugosławia znacznie nas wyprzedza), ale przede wszystkim niezwykle wartości krajobrazu, zabytków i folkloru Jugosławii. Toteż poznanie osobliwości kraju, ich udostępnianie i opieka nad nimi mają w tym kraju nie tylko wielkie znaczenie kulturalne, ale i gospodarcze. I tu także przypada krajoznawstwu jugosłowiańskiemu wielka rola do spełnienia. Dość wspomnieć, że na terenie Dubrownika, będącego niewątpliwie największą osobliwością Jugosławii i największym centrum zagranicznego ruchu turystycznego, działa towarzystwo miłośników zabytków tego miasta, które jest głównym jego opiekunem. Sądząc po stanie zachowania miasta towarzystwo to spełnia swą rolę doskonale.



Zaulek w Dubrowniku. U góry: stary port w Dubrowniku. Fot. Danuta i Kazimierz Kowalscy



KAZIMIERZ
KOWALSKI

TURYSTYKA I KRAJOZNAWSTWO W JUGOSŁAWII

Jugosławia jest krajem o wyjątkowych wartościach krajoznawczych i turystycznych. Już sama przyroda jest tu niezwykle piękna i urozmaicona. Na północy wznoszą się Alpy Julijskie, wśród których Triglav, najwyższy szczyt Jugosławii, osiąga 2863 m wysokości. Dalej ku południowi, aż do granicy albańskiej ciągną się nieprzerwanie pasma Gór Dynarskich, raz porosłych lasami, raz nagich, świecących białymi skałami wapiennymi, to wreszcie pokrytych zaroślami śródziemnomorskimi — makią. Zachodnią granicę Jugosławii tworzy wybrzeże dalmatyńskie, pełne zatok i wysp, o śródziemnomorskim klimacie i roślinności. Wreszcie na wschodzie leży wokół Belgradu żyzna nizina, przedłużenie niziny węgierskiej. Do tego dodać trzeba, jako osobliwość przyrodniczą, liczne formy krasowe, a zwłaszcza jaskinie. Leżący już blisko granicy włoskiej Kras jest

klasycznym terenem tych zjawisk, które stąd właśnie wzięły swą nazwę. Najbardziej znaną osobliwością jest tu wielka, od dawna znana i podziwiana jaskinia Postojna.

Do bogactwa przyrody dołącza się w Jugosławii bogactwo pamiątek przeszłości, wynikające z jej zawiłej i urozmaiconej historii. Spotkamy tu więc najpierw wspaniałe zabytki rzymskie, wśród których amfiteatr w Puli, a zwłaszcza pałac Dioklecjana w Splicie należą do najwspanialszych pomników budownictwa rzymskiego. Wybrzeże dalmatyńskie przez długie wieki pozostawało pod wpływami, a po części pod władzą Wenecji — stąd pełno tu budowli i pomników żywo przypominających Włochy. Wyjątkowe miejsce zajmuje wśród nich Dubrownik, przez długi czas kwitnąca i niezależna, choć mikroskopijna republika, dziś miasto-zabytek, w całości zachowane i nie zeszepeczone żad-

nymi późniejszymi zmianami. Staroserbskie cerkwie, a zwłaszcza pieczołowicie teraz odsłaniane i konserwowane ich wspaniałe freski tworzą zupełnie odrębny rozdział w europejskiej historii sztuki. Wielowiekowa niewola turecka pozostawiła tu również swoje ślady. Sarajewo, niegdyś pono najpiękniejsze po Konstantynopolu miasto imperium otomańskiego, do dziś zachowuje swój orientalny charakter z pełnymi jeszcze wciąż wiernych meczetami, starymi cmentarzami i pełnym gwaru bazarem.

Jest wreszcie Jugosławia krajem do dziś żywej kultury i sztuki ludowej. We wsiach dalmatyńskich czy bośniackich do dziś wszyscy chodzą w przepięknych, tradycyjnych strojach ludowych, ale nawet i w samym centrum nowoczesnego Belgradu widzi się często grupy wieśniaków w swoich strojach, z pasterskimi torbami

i w kierzach o zadartych, długich szpicach. Mówiąc o Jugosławii pamiętać trzeba, że jest to kraj będący etniczną mozaiką. Mozaikowość ta zachowuje się w pełni dzięki temu, że życie kulturalne rozwija się odrębnie w każdej z republik jugosłowiańskich (należą do nich: Słowenia, Chorwacja, Serbia, Bośnia i Hercegowina, Macedonia i Czarnogóra, poza tym Kosmet i Wojewodina tworzą okręgi autonomiczne). Mamy w Jugosławii trzy języki: słoweński, serbo-chorwacki i macedoński i dwa alfabety: łaciński i cyrylicę (przy tym język serbo-chorwacki pisany jest w Chorwacji alfabetem łacińskim, w Serbii i Czarnogórze cyrylicą, a w Bośni i Hercegowinie oba alfabety są równouprawnione). Wreszcie Słowacy i Chorwacy są na ogół katolikami, Serbowie, Czarnogórcy i Macedoń-

DOKOŃCZENIE NA STR. 31



W NASTĘPNYM NUMERZE PRZECZYTACIE:

Gwałtowny wicher przerzucił przez Planty płonące resztki gontów i za chwilę ogień szalał już w śródmieściu. Mimo rozpaczliwej akcji ratunkowej drewniane dachy kamienic zajmowały się jeden po drugim. Pożar szedł szeroką lawą ognia przez gęsto zabudowane centrum miasta, pozostawiając dymiące pogorzeliisko... Tysiące ludzi pozostało bez dachu nad głową... Młodzież akademicka ratowała uniwersytet... — o ostatnim pożarze Krakowa pisze w październikowym numerze ZIEMI Juliusz Demel

Gdzie pomieścić zagranicznych turystów, skoro narzecz już i tak jest za dużo? Jeżeli zastanawiacie się nad problemami campingu — przeczytajcie artykuł w następnym numerze, którego autor Kazimierz SAYSSE-TOBICZYK ma w tej dziedzinie chyba największe doświadczenie w Polsce

Wizerunek tego brodatego człowieka znaleziono w starej mazurskiej chałupie dosłownie za piecem. Jest to zaledwie fragmencik zaginionej serii obrazków ludowych, która po dziś dzień czeka na swego odkrywcę. Jak jej szukać — o tym dowiedziecie się w następnym numerze ZIEMI

